

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



ANIELSKI SEN

L. A. TESSIER



*Dama druga.* Czy i dla rodzin więźniów pani...

*Wiera.* Naturalnie. Jest między nimi okropna nędza. Wczoraj slyszałam, jak jeden sześciolatek chłopczyk mówił do matki: „Moja mamó, ja już chleba jeść nie mogę, bo się we mnie wszystko zeszło...”

Jedna dama złożyła rubla, druga złotówkę, pożegnały się i wyszły. Wiera zwróciła się do Świrskiego. Gorączkowym ruchem uścisnęła mu rękę i rzekła:

— Już wiecie, że Chrzanowski aresztowany?... Żle może być z nim!... Padlec Starka pięciu ludzi denuncyował... Wprost występuje, jako agent ochrany. Jest tak gorliwy, że i żandarmi zaczynają mu niedowierzac...

— A ja właśnie przyszedłem pogadać z panią o Chrzanowskim. Czy tam jest kto?...—wskazał na drzwi.

— Ach, są i radzą o tym policmajstrzel!...—szepnęła Wiera, zatykając uszy, a na jej ruchliwej fizyognomii malował się wstręt.— Ja już nie chcę tego... nie chcę!... nie chcę!... i niech oni raz dadzą mi spokój...

— Wydobędę Chrzana, albo... — rzekł cicho Świrski.

— Ale tu nikt wam nie pomoże... Oni oszaleli...

— Będę potrzebował dobrego konia z sankami, pewnego furmana... Ale to dziś, jutro...

— Furmana mogę mieć, konia z trudnością, ale...

— To nie wszystko — ciągnął Świrski, pochyliwszy się do jej ucha. — Jeszcze potrzebuję...—szepnął.

— To możliwe.

— Ale jeszcze...—szepnął ciszej.

Wiera zamyśliła się i położyła dwa palce na skroniach.

— Bardzo trudno, ale... spróbuję.

Z trzeciego pokoju wyszedł Pędzelek i Regen, który zawołał z tryumfem:

— A co, nie mówiłem, że towarzysz będzie należał do sprawy z panem policmajstrem?...

— Dajże mi pan spokój ze swoją sprawą z policmajstrem — odburknął Świrski.

— Zostaw go — wtrącił Pędzelek. — Świrski należy do opieki nad uwięzionymi położnicami.

Kazimierz uśmiechnął się, ale milczał. Zastąpiła go Wiera.

— Ja wam szczerze mówię, Pędzelek, że tysiąc razy wolę pomysł Świrskiego, aniżeli wasze sprawy. On jest prawdziwy bohater.

— Obsługiwanie położnic jest bohaterstwem — odrzekł Pędzelek.

Zniknęli obaj z Regnem, a Świrski jeszcze kilka minut rozmawiał z Wierą półgłosem. Nareszcie pożegnał ją i wyszedł na główną ulicę miasta X. Znowu włókł się niezgrabnie, z podwiązaną twarzą, chciał jednak spróbować: czy nie pozna go kto ze znajomych? Rzeczywiście spotkał swego nie-

gdyś nauczyciela z długą brodą, obtarł się o niego i z wielką przyjemnością usłyszał mruknięcie: „Bałwan!... Uściskałby go za ten wymysł.

## XVI.

O zmierzchu, na rogu Wąskiej ulicy spostrzegł ciemną, zgrabną sylwetkę kobiety, na której widok drgnęło w nim serce. Przyspieszył kroku i poznał — Jadwigę.

— Dobry wieczór pani!...—szepnął.

Odwrociła się, a na twarzy jej odmalowało się przerażenie i zachwył.

— Gdzie pani mieszka?... — pytał, wymijając ją.

— U cioci, w aptece... — odpowiedziała.

— Aha, w rynku? Czy mogę przyjść?...

— Idę tam... — rzekła Jadwiga, przyspieszając kroku. Na małoludnej uliczce nie zauważono ich rozmowy.

Powłóczywszy się między ogrodami, na krańcu miasta, Świrski wrócił na rynek i wszedł do bramy domu, w którym była apteka. Na schodach źle oświetlonych pierwszego piętra czekała go Jadwiga ze łzami w oczach, drżąca, ale uśmiechnięta, i wprowadziła do osobnego pokoiku, gdzie paliła się lampa, nakryta ciemno-ponsowym abażurem.

— O, panie, co pan zrobił?... — zawołała i wyciągnęła obie ręce. Mimowolnym ruchem Kazimierz pochwycił rączki i, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, całował jej palce i dłonie.

— Ale czy pan wie o nieszczęściu?... — mówiła Jadwiga. — Stryj pański wysłał przez Klemensa trzy tysiące rubli dla pana, do bandy Zajączkowskiego. Otóż Zajączkowski zabrał mu te pieniądze...

— Ale zapewne wydał kwit... — wtrącił Kazimierz, śmiejąc się. — Niech mi pani lepiej powie coś o sobie...

— Dyrekcyja zatwierdziła moją szkołę w Rożkach — mówiła Jadwiga. — Jestem zachwycona!...

— Jeżeli wszystko mi się uda, odwiedzę panią... — rzekł Świrski.

— Ach, jak to dobrze!... Rożki cicha osada, i teraz nawet niema strażników... Proboszczem jest, wie pan kto? pański dawny korepetytor, ksiądz Stanisław...

— A państwo Linowscy?...

— Zdrowi, zadowoleni. On ma wkrótce przyjechać do domu... Tylko pan niech się już nie naraża, panie Kazimierzu... Nawet nie domyśla się pan, ileśmy wycierpiali, kiedy pan poszedł z tymi... Przyrzeka pan?...

Trzymała go za ręce i zbliżyła się tak, że Świrski stracił przytomność, ogarnął ją ramionami i całował... całował... całował jej włosy, oczy, usta... A potem jeszcze całował... i jeszcze... Nareszcie wydarła mu się, purpurowa na twarzy.

— Nie można!... — szepnęła.

— A jeżeli tam przyjadę... do Rożków?...

— Najpierwej niech pan przyjedzie...

Do drzwi zapukano.

— Jadziu...

— Przyjedzie pan?...

— Chyba, że nie będę żył...

Wybiegł z pokoju, pijany. Potrącił we drzwiach otyłą damę i, nie wiedząc kiedy, znalazł się w domu faktora. Szał pierwszych w życiu pocałunków upoił go jeszcze silniej, jeszcze straszniej, aniżeli pomysł ocalenia Chrzanowskiego. Chwilami zdawało mu się, że nie dotyka ziemi, że zniknął świat rzeczywisty i że otacza go bezdeny ocean piękności i szczęścia.

„Jeżeli śmierć jest taka — pomyślał — chciałbym umrzeć“...

Przez połowę środy i cały czwartek Świrski biegał po mieście. Był u Pfefermana, otrzymał mnóstwo podziękowań od całej rodziny i dwa tysiące rubli na weksel z datą październikową roku zeszłego. U Pfefermana zapoznał się z pisarzem leśnym, który w piątek miał jechać w stronę Grudy i obowiązał się zabrać jednego towarzysza. Był u Dębowskiego i zostawił list do stryja, na wypadek swej śmierci.

— Mój drogi — rzekł na pożegnanie doktor — nie dowiaduję się: co masz zamiar zrobić? To już twoja rzecz. Ale nie mogę powstrzymać się od zapytania: czy jutro nie będziesz żałował tego, co dzisiaj chcesz zrobić?...

— Nie.

— A wierzysz ty w Boga?...

Świrski milczał.

— Ja trochę wierzę. A ponieważ wiem, że nie zrobisz szelmstwa, więc mówię: niechaj ci Bóg dopomaga!

Przytulił go do piersi i dał znak ręką, ażeby już poszedł.

Od doktora Kazimierz pobiegł do Wierzy i zostawił u niej kartkę do Chrzanowskiego tej treści: „Niczemu się nie dziw; odpowiadaj krótko; będzie dobrze, Kazimierz“. Po krótkiej naradzie, szeptem, Wiera kazała mu przyjść jeszcze raz, dziś wieczorem.

Po obiedzie w nędznej restauracyjce żydowskiej Świrski poszedł do fabryki machin rolniczych i pogadał ze szwajcarem; następnie udał się do fabryki tytoniu, pod którą rozmówił się z pewnym majstrem. Potem obejrzał płot, otaczający cmentarz, i przed wieczorem znowu odwiedził Wierę.

Wprowadziła go do pokoju słabo oświetlonego, gdzie jeden z trzech będących tam mężczyzn zaczął po rosyjsku bardzo ostro wykrzykiwać na Świrskiego. Chłopak, w pierwszej chwili zdziwiony, nagle wyprostował się i równie ostro zawołał po rosyjsku:

— Cóż to, jesteście panowie z policji?...

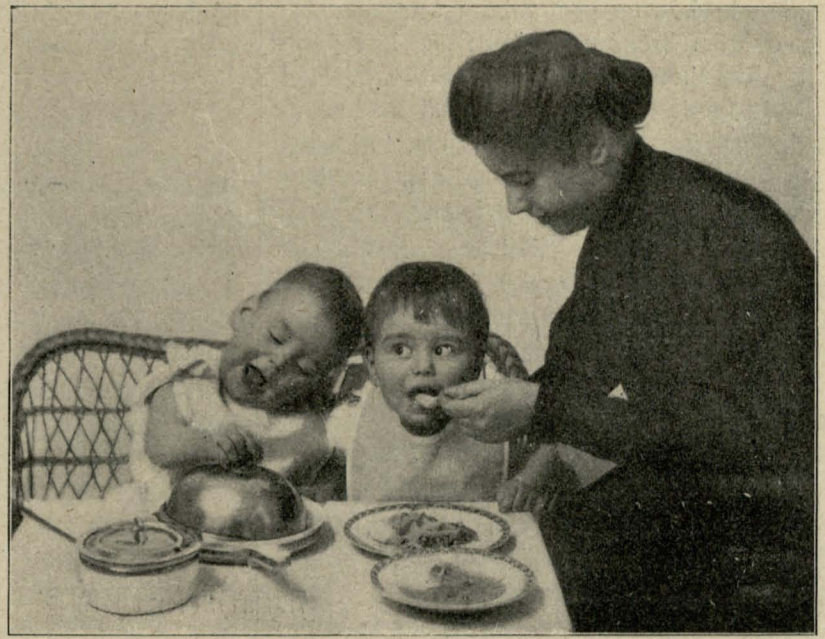
Odpowiedziano mu śmiechem. Potem kazano chodzić, siadać, kłaniać się, podawać rękę i zadawano mnóstwo pytań, na które Kazimierz odpowiadał głośno, szybko i stanowczo.

Dziwna ta rozmowa ciągnęła się z pół godziny i zakończyła się ze strony jednego





SYMFONIA ŚNIEŻNA



ŚNIADANIE

Z wystawy szkoły fotograficznej.

z mężczyzną wykrzyknikiem: „*Matadiec!*“... Gdy Kazimierz żegnał Wierę, powiedziała:

— Dzwoni się z prawej strony; wchodzi się przez furtkę, potem na schody, na prawo. Na piętrze drugie drzwi na lewo, szyba matowa. Nadziratel Iwan Piotrowicz, zaczyna pić o siódmej, a na ósmą już gotów. Gorszy od niego jest pisarz.

Od Wierę poszedł Kazimierz do łaźni, gdzie wymyło go doskonale. Z łaźni udał się na kolację, znowu do ubogiej restauracyjki, a stamtąd do swej komórki. W ciągu dnia w każdej chwili wolnej przypominał sobie Jadwigę, jej małe, gorące rączki i bezcenne pocałunki. Z przestachem czuł, że, jeżeli gotów był siebie poświęcić za Chrzanowskiego, to kto wie, czy Chrzanowskiego nie poświęciłby dla niej, dla Jadwigi?...

Z tą myślą położył się na tapczanie i nie obudził się aż nazajutrz, o siódmej rano.

„Więc to dziś“... — rzekł do siebie i poczuł ogromne zdziwienie, ale i radość.

Piątek był to dzień przesłiczny. Na niebie ani jednej chmurki, słońce, pomimo stycznia, grzało. Świrski, szczęśliwy i uśmiechnięty, szedł w stronę Nowego Placu; szedł, ale zdawało mu się, że mógłby latać, że uniosłyby go dwa skrzydła: miłość dla Jadwigi i myśl o Chrzanowskim.

Na ulicy Starej, o kilkadziesiąt kroków od placu, wyminął go jakiś oberwaniec i mruknął złym głosem:

— Nie włóczyć się tędy!...

„Ktoś z party—pomyślał Świrski—czyby mnie poznał?... Tymczasem—muszę przejść tędy“...

Nowy Plac miał na środku wielki gmach rządowy, a z czterech stron kamienice, wzdłuż których biegły chodniki. Pomimo dnia pięknego ruch był nieduży. W jednym rogu stało kilka sanek jednokonnych, przed sklepami ziewały gromadki Żydów. Naprzeciw Świrskiego szedł jakiś młody człowiek i w znaczący sposób przymknął powieki; może tylko przywidziało się Kazimierzowi.

O kilkanaście kroków dalej, w sieni

nieporządnego domu, Świrski spostrzegł Regena w jego romantycznej pelerynie i poplamionym kapeluszu. Zegarmistrz był bladej, jak kreda; patrzył gdzieś, nic nie widząc, a na jego wążkach, sinawych ustach drżał uśmiech szydery i bolesny.

„Ten pójdzie do Bonifratrów—pomyślał Kazimierz—jeżeli nie umrze na suchoty“...

Nareszcie przeszedł plac i, ostrożnie obejrzawszy się, na rogu ulicy Nizkiej, wbiegł do kamienicy. Szybko minął pierwsze piętro; na drugim cztery razy w charakterystyczny sposób zapukał do drzwi, na których była przybita mosiężna tabliczka z napisem. Po chwili otworzono, i Świrski znalazł się wobec trzech mężczyzn, zajętych żywą rozmową. Nie chcąc im przeszkadzać, po przywitaniu, wszedł do następnego pokoju, którego dwa okna wyglądały na Nowy Plac.

Meble były tutaj ubogie i stare; na żelaznym łóżku leżała skórzana poduszka i wołokowa kołdra, a tylko na stoliku, zarzuconym papierami i zasypanym popiołem z cygar, pyszniło się kwadratowe lustro w srebrnej oprawie.

W sąsiedztwie mężczyźni żywo rozmawiali, jakby spierali się; potem jeden z nich zirytowany wszedł do pokoju Kazimierza i przez dłuższą chwilę wyglądał oknem. Nie zobaczył widać nic interesującego, gdyż powrócił do kolegów, gdzie znowu zaczęto spierać się przyciszonymi głosami.

Ich rozmowa nie obchodziła Świrskiego, który w tej chwili pomyślał: „Jeżeli na jutro ustali się taka pogoda, Chrzan będzie miał piękną podróż“...

Stanął przed oknem i machinalnie zaczął wyglądać. Oto z ulicy Głuchej wychodzi sznur pensjonarek. Cofnęły się, więc zapewne pójda do ogrodu... Oto dwie służące: jedna w popielatej chustce z koszem w rękę, druga w niebieskim fartuchu z garnkiem... („Czy moja kartka doszła do Chrzana?... Byłoby źle, gdyby nie doszła“!...)

Z poza gmachu rządowego wysunęła się młoda kobieta, czarno ubrana, podniosła do twarzy chustkę i—cofnęła się znowu za gmach. Z ruchów podobna była do Jadwi-

gi... („Ach, jakże będę szczęśliwy, kiedy się to skończy, kiedy Chrzan dojedzie do Galicji, a ja wpadnę na odpoczynek do Rożkowa... Zaczuję na śmierć“...).

Świrskiego zastanowił jeden szczegół: gromadki Żydów zaczęły się rozpraszać... („Jest tu pewnie gdzieś w pobliżu policmajster, który nie lubi Żydów, a oni zawsze przed nim uciekają, co ogromnie mu pochlebia“)...

Z lewej strony placu, od grupy sanek, oderwały się jedne, zaprzęgnięte w siwego konia, i z wolna zaczęły zbliżać się ku środkowi; z prawej strony placu wypadł szewcki chłopak i, oczywiście kontent z pięknego dnia, skakał i podrzucał w górę nowe buty. Świrski aż uśmiechnął się do niego. W tej samej chwili z poza gmachu wyszedł policmajster, człowiek niewysoki, z żywymi ruchami. O kilka kroków za nim maszerowało dwu strażników i dwu pieszych żołnierzy z karabinami.

Na ten widok Świrski doznał szczególnego niepokoju; coś niby odepchnęło go od okna.

„Ten poznałby mnie...—pomyślał Kazimierz.—Ale tu chyba nie przyjdzie!“

Teraz od strony, gdzie wyglądał oknem Kazimierz, ukazał się Regen w swojej pelerynie i wolno, z pochyloną głową, szedł naprzeciw policmajstra, który, spostrzegłszy go, przyśpieszył kroku.

„I otóż Regen będzie miał nową awanturę!...“ — pomyślał Kazimierz.

Sanki, zaprzęgnięte w siwego konia, podjeżdżały do środka placu, gdzie również dobiegał szewcki chłopak z butami. Do Regena, szybko, z gwałtownymi ruchami, zbliżał się policmajster, poza którym o kilkanaście kroków została jego eskorta. Wtem... płaszczyk Regena wionął, jak czarne skrzydła, u nóg policmajstra błysnął ogień, huknął piorun, a kłęby żółtawej pary ze wściekłą siłą buchnęły we wszystkich kierunkach... Zabrzęczały okna, z drugiego pokoju przybiegli rozprawiający mężczyźni...

Na placu dym opadł. W miejscu, gdzie stał policmajster, widać było kałużę krwi, zaruconą szarymi i czarnymi łachmanami.



O kilka kroków na prawo leżał szewcki chłopak, o kilka kroków na lewo płał się we krwi siwy koń, któremu wybuch oberwał przednie nogi. Za policmajstrem klęczał strażnik i, krzyżąc nieludzkim głosem, tarł oczy; przed zwłokami policmajstra leżał Regen, lecz nagle zerwał się i począł uciekać.

Wtedy jeden z żołnierzy przykłęknął, wycelował karabin i wypalił do Regena, który znowu upadł, ale znowu podniósł się i pijanym krokiem wbiegł do najbliższej bramy.

— A niechże ich milion dyabłów porwie!... — krzyknął Świrski, chwytając się oburącz za głowę. — Przecież to jatki... to zbrodnia nad zbrodniami!...

— Pod Laojanem chyba oszalałbyś... — odezwał się jeden z mężczyzn. — Nie jesteś stworzony na żołnierza!...

— Na oprawcę nie jestem stworzony!... — odpowiedział Świrski.

Tymczasem na Nowym Placu zakotłowało. Wszystkie sanki zniknęły. Kobieta z garnkiem upadła, krzyżąc w niebogłosy, a jej towarzyszka cisnęła kosz na śnieg i pędziła przed siebie. Kupcy z pośpiechem zamykali sklepy; jakiś Żyd, rozkrzyżowawszy ręce, bił pięściami w zawarte drzwi. Z wielu okien powypadały szyby, na miejscu których widać było czarne kwadraty. Z poza gmachu rządowego wybiegł oddziałek piechoty, od uliczki Starej pędzili kozacy.

— Pewnie zaczną się rewizje — rzekł jeden z mężczyzn. — Trzeba zejść na dół.. Świrski tu zostanie!...

Trzej mężczyźni wyszli. Po ich odejściu Świrski usiadł na żelaznym łóżku i załamał ręce. Czuł, że w tej chwili rwą się w nim ostatnie nici, jakie jeszcze łączyły go z ruchem rewolucyjnym.

— Ach, żeby się to już skończyło!... ach, żeby to już było jutro!... — mówił do siebie z rozpaczą.

Po kwadransie wrócił jeden z mężczyzn i opowiedział Świrskiemu bliższe szczegóły wypadku. Na policmajstra rzucił bombę jakiś Żyd, zegarmistrz, którego żołnierz trafił kulą w plecy; postrzelony wbiegł do sieni, schował się za beczkę po cukrze i tam umarł. Chłopak szewcki, ciężko raniony w piersi i w głowę, jeszcze nie odzyskał przytomności. Jeden ze strażników ma wypalone oczy. Koń z oberwanymi nogami zdechł, a jego dorożkarz krzyczy, skacze i śmieje się, jak gdyby stracił rozum. We wszystkich sklepach i domach żydowskich ma być rewizja, i już się nawet zaczęła.

Mężczyzna skończył opowiadanie i nagle zapytał Świrskiego:

— Cóż z waszym zamiarem dzisiaj?... Odłóżcie go?...

— Ani myślę!... — stanowczo odpowiedział Świrski. — Mego zamiaru nie potrzebuję wyrzekać się, ani odkładać.

— *Maładiec!*... Tylko odważni mogą coś zrobić... W każdym razie musicie zostać tutaj do wieczora. Tu najbezpieczniej.

— Około dziesiątej wieczór albo będziemy za miastem, albo... zobaczę policmajstra!... — rzekł, śmiejąc się, Kazimierz.

— Będziecie za miastem — odpowiedział mężczyzna. — To jest tak waryacki plan, że

musi się udać. Ale trzeba odwagi i zimnej krwi...

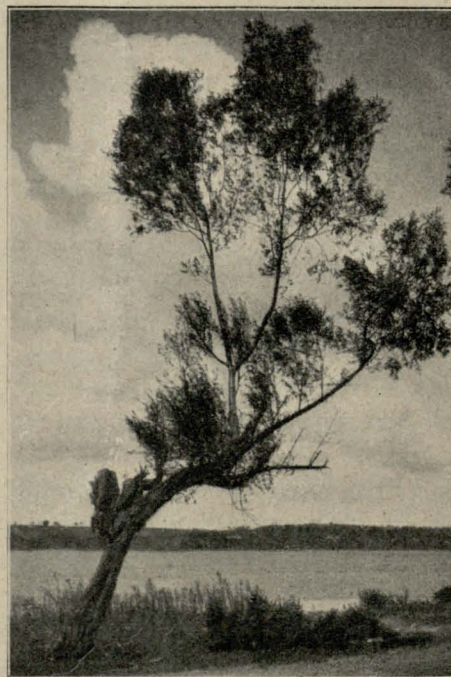
Tego dnia, w mieście X., nad wieczorem snuło się niewiele osób, a najmniej wojskowych; prawie bowiem cały garnizon powołano do rewidowania podejrzanych domów. Wystraszeni mieszkańcy opowiadali sobie najdziwniejsze pogłoski, między innymi taką, że banda Zajczkowskiego przekradła się do miasta w celu dokonywania zamachów na wyższych przedstawicieli rządu. Kto więc nie miał gwałtownej potrzeby, siedział w domu i tylko oknem nieśmiało wyglądał na ulicę, zapytując: czy lada chwila i na niego nie spadnie rewizja?

Była blisko ósma, kiedy z kamienicy na rogu Nowego Placu i Nizkiej wyszedł młody, wysoki oficer, z ruchami zręcznymi i energicznymi. Był ubrany w szynel, uzbrojony w szablę i rewolwer. Prędko przeszedł na środek placu, minął gmach rządowy i skierował się do stacji dorożek, gdzie w tej chwili widać było tylko sanki, zaprzęgnięte w karego, silnego konia, którym powoził jego właściciel, a zarazem jedyny dorożkarz prawosławny i Rosyanin.

— Matwiej? — zapytał oficer. Potem siadł do sanek i wydał rozkaz furmanowi.

Czarny koń ostro ruszył z miejsca, przebiegł kilka prawie bezludnych uliczek, wjechał na rozległy plac pusty, wyminał go i po kilku minutach jazdy zatrzymał się przed więzieniem. Był to gmach żółtej barwy w formie wielkiego pudła, podziurawionego mnóstwem okienek.

Oficer wysiadł, szepnął do szyldwachy, stanął przy furtce i z prawej strony pociągnął za dzwonek. Zaczął padać śnieg; oficer



SAMOTNE DRZEWO Z wystawy szkoły fotograficznej

otrząsnął się. Gdyby kto zajrzał do jego myśli, znalazłby niezmiennie zdecydowanie się — taki oto dziwny monolog:

„Raz!... wydobyć brauning... Dwa... przyłożyć do skroni... Trzy!... pociągnąć cyniel.“

Furtka uchyliła się, oficer energicznym krokiem wszedł do sieni i, mimowoli spoj-

rzawszy na dziedziniec, przy blasku latarni, poprzez płatki śniegu, zobaczył dwa słupy, złączone belką, u której chwiała się dwa sznury. Potem skręcił na prawo, wbiegł na schody, a na korytarzu pierwszego piętra chwilę zatrzymał się przed oszklonemi drzwiami. Nagle przycisnął klamkę i wszedł do pokoju sklepionego, brudnego, w którym były dwa zakratowane okna, dwa stoły, kilka drewnianych krzeseł i gdzie swąd nafty mieszał się z zapachem tytoniu.

Przy stole, obok drzwi, siedział tego zbudowany pisarz z żółtawą czupryną i mocno różową skórą na twarzy. Pisarz udawał, że jest bardzo zajęty, lecz oficer rzekł tonem, wykluczającym dyskusję:

— Potrzebuję natychmiast widzieć się z Iwanem Piotrowiczem.

Pisarz podniósł się z krzesła i z podobą spojrzął na mówiącego. Jednocześnie uchyliły się drzwi w głębi pokoju i wszedł człowiek szczupły, szpakowaty, odziany w szynel oficerski. Miał szpiczastą głowę, szpiczasty nos, załamane oczy, a pod dużymi wąsami usta zawsze smutno uśmiechnięte. Moralną cechą Iwana Piotrowicza stanowiła obawa. Bał się przedewszystkiem surowego generał-gubernatora, następnie żandarmów, więźniów, ażeby się nie głodzili i nie hałasowali; bał się swego pisarza, Kosty, i jeszcze bał się okropnie, bezbrzeżnie szubienicy, ustawionej na podwórzu więziennem.

W gruncie rzeczy Iwan Piotrowicz był dobrym człowiekiem. Od kilku miesięcy prosił o przeniesienie go na posadę nadziratela szpitalnego, a od czasu pierwszej egzekucji szubienicznej w więzieniu upijał się co wieczór.

— Jestem Aleksiej Kiryłowicz Popow — rzekł oficer — podporucznik ...skiego pułku. Przyjechałem z polecenia generał-gubernatora.

I podał nadziratelowi kopertę, którą ten otworzył dygocącemi rękoma.

A tymczasem oficer patrzył mu w oczy i myślał:

„Raz... wydobywam rewolwer... Dwa!... do skroni... Trzy!... pal...“

Nadziratel przeczytał list i podał go pisarzowi.

— Generał-gubernator rozkazuje wydać im tego tam Chrzanowskiego...

— Ważny więzień — rzekł pisarz.

— Ważny więzień!... — powtórzył nadziratel.

— Bardzo ważny — odparł oficer. — Innego generał nie wzywałby do siebie o tej porze.

Pisarz otworzył wielką księgę, przewracał karty... szeptał z nadziratелеm... Oficer myślał:

„Tobie, pocziwce, nic... Ale ten padlec pisarz dostanie w łeb!... Raz!... wydobyć brauning... Dwa... przyłożyć do skroni... Trzy!... wypalić...“

— Nie macie eskorty?... — spytał nadziratel.

— Po co? Ażeby zwrócić uwagę bandytów?... — odpowiedział oficer.

— Prawda!... — szepnął nadziratel.

— Może papierosa?...

— Dziękuję. Nie pora.





SZRON

Z wystawy szkoły fotograficznej

Nadziratel znowu poszeptał z pisarzem.

— Może herbatki?... — odezwał się po chwili.

Oficer zrobił krok naprzód.

— Iwanie Piotrowiczu — rzekł — ośmielę się zwrócić waszą uwagę, że z rozmysłem opóźnicie spełnienie bardzo pilnego i ważnego rozkazu...

— Bo ja nie wiem, czy mogę wam wydać aresztanta!... — zawołał nadziratel.

— W takim razie musicie sami jechać ze mną do generał-gubernatora i przed nim się wytłómaczyć...

— No, a co teraz?... — spytał przerażony nadziratel pisarza.

— Rozkaz wyraźny — odpowiedział pisarz. — Trzeba oddać więźnia.

Nadziratel zadzwonił, a gdy ukazał się jeden z więziennych dozorców, kazał przeprowadzić Chrzanowskiego.

— Tylko niech weźmie czapkę i palto — rzekł nadziratel, a zwróciwszy się do oficera, poprosił o pokwitowanie.

— Nie mam jeszcze więźnia — odpowiedział oficer.

Nadziratel potrząsnął głową i popatrzył na pisarza.

— Was, Aleksiej Kiriłowicz, przeniosą z linii do żandarmów... Wy bardzo rozważni!...

Zamiast odpowiedzi, oficer zapytał:

— Iwanie Piotrowiczu, czy nie moglibyście pożyczyć mi jakiej szyneli i furazerkę?... To będzie najlepsza eskorta.

— Z wielkiem zadowoleniem!... — odpowiedział nadziratel. — Wyszedł do drugiego pokoju i niebawem przyniósł żądane ubranie. Jednocześnie drzwiami od korytarza wszedł Chrzanowski. Na widok oficera zrobił jakiś ruch, ale Popow zwrócił się do niego:

— Wasze nazwisko?...

— Chrzanowski.

— Imię i otczestwo?...

— Waclaw Ludwikowicz.

— Gdzie aresztowany?...

— Zajczkowski porwał mnie tutaj.

Oficer machnął ręką.

— Widzę, że ten sam... Dajcie pokwitować...

Nadziratel potrząsnął głową, patrząc na pisarza. Był zachwycony energią i przytomnością oficera.

Popow podpisał kwit z odbioru Chrzanowskiego i rzekł:

— Przygotujcie kwit, gdy odwiezie aresztanta.

Zwrócił się do Chrzanowskiego:

— Włóżcie tę szynel i czapkę... Pomóżcie aresztowanemu — dodał do pisarza. A gdy Chrzanowski został ubrany i zapięty, oficer wziął jego barankową czapkę do kieszeni i powiedział:

— Chrzanowski... pojedziecie ze mną niedaleko stąd... Ostrzegam was przy świadkach (panowie słyszycie?)...

— Słyszemy — odpowiedział pisarz.

— Ostrzegam Chrzanowskiego przy świadkach, że, gdyby chciał wyskoczyć z sanek, albo gdyby zwracał się do kogo na ulicy, będę zmuszony zastrzelić go...

Pisarz wyprostował się, jak struna, nadziratel z niewymownym zapałem uściskał rękę Popowa i wyprowadził go, wraz z jego więźniem, do furtki.

— Najlepiej będzie — rzekł Popow do Chrzanowskiego — jeżeli aresztowany weźmie mnie w sankach pod rękę i będzie ze mną przyjemnie rozmawiał...

— Maładiec!... — wykrzyknął zachwycony nadziratel i własnoręcznie, szeroko otworzył furtkę, poza którą zniknął Popow i aresztant. Po chwili zaskrzypiały sanki.

— O, tacy powinni być w żandarmeryi!... — powiedział nadziratel do pisarza, wróciwszy na górę. — Nu, ja teraz zdrzemnę się, a jak wróci Popow, ty, Kostia, obudzisz mnie. Ot, takich nam potrzeba!...

— A ja, głupi, zrazu pomyślałem, że to ktoś przebrany za oficera... — odrzekł pisarz.

— Dobrze mówisz, żeś głupi, Kostia. Ja natychmiast zrozumiałem, kto on taki. On będzie żandarm... Generał umie wybierać ludzi... Kochany!...

— Mądry człowiek... liberalny człowiek... dusza człowiek... — zakończył pisarz.

Wsiadłszy do sanek z Chrzanowskim, oficer wziął go pod ramię i silnie przyciskając, zapytał po francusku:

— Poznałeś mnie, Waciu?...

— Ty jeden mogłeś zrobić coś podobnego!... — odpowiedział Chrzanowski, drżąc całym ciałem.

— Rozepnij szynel — mówił oficer już zamieniony w Świrskiego i kładź do palto-ta... Tylko nie pomyśl się z kieszeniami... Tu jest brauning, magazyn i zapasowe naboje... To twoja czapka... a to pugilares z paszportem i pieniędzmi... Masz dwieście rubli i paszport na imię Antoniego Cieplaka... Pisarz leśny, z którym pojedziesz, odeśle cię do Grudy, a stamtąd zmykaj do Galicyi...

— Nie wiem, jak ci się wywdzięczę, Kaziu!... — szepnął Chrzanowski.

— Nic nie mów!... — przerwał Świrski, głosem nieco zmienionym.

Zatrzymał sanki przed jakąś restauracją, wsunął zwitek bankocetli w rękę dorożkarzo-

wi i, pociągnawszy Chrzanowskiego, wszedł do sieni. Przebiegli korytarz, podwórko, potem Świrski uchylił bramę, zamkniętą na kółka, i obaj znaleźli się w uliczce zupełnie pustej. Szybko minęli drugą i trzecią uliczkę, na których znajdowało się coraz mniej domów, wreszcie zatrzymali się między szopami i parkanami. Tu czekał na nich człowiek skulony, z rękoma w kieszeniach.

— Aaa!.. chwała miłosiernemu Bogu, kiedy tak... — odezwał się człowiek.

— Konie są?... — zapytał Świrski.

— Pisarz czeka przed naszą fabryką — wziął pakę tytoniu...

— Niema nikogo?...

— Tylko nasz akcyznik — odpowiedział człowiek.

— Waciu, bywaj zdrow... i idź z tym obywatelem, a szynel i czapkę wojskową rznij gdzie w rów... — rzekł Świrski, obejmując Chrzanowskiego za szyję. Ex-więzień schwyił go za rękę i chciał pocałować, ale Świrski wyrwał się.

— Na śmierć i życie... — szepnął Chrzanowski.

— Nic nie mów... nic... Idźcie!...

— Co tobie, Kaziu?...

— Nic... Jestem trochę rozklekotany...

Zaczynam czuć nerwy...

Popchnął Chrzanowskiego i uciekł za szopę. Tam przelazł przez parkan, przebiegł ogród, gęsto zasadzony śliwami, znowu przeskoczył niewysoki parkan i znalazł się w innym sadzie. Gdy przeciskał się między krzakami porzeczek, coś go szarpnęło za szablę, Świrski skamieniał. Przez mgnienie oka nie śmiał spojrzeć za siebie, lecz, gdy z trudem odwrócił głowę, przekonał się, że zatrzymuje go krzak.

W taki sposób około kwadransa szedł zamiejskimi ogrodami, nastuchując i wyglą-



MATKA

Z wystawy szkoły fotograficznej





WNUCZEK

Z wystawy szkoły fotograficznej  
Fot. am. S. Kulikowskiego

dając za parkany. Wreszcie wydostał się w aleję starych drzew i nią, kryjąc się za pniami, dobiegł do fabryki żelaznej, której kominy dymiły, a w oknach migotały żółtawe światelka. Świrski zapukał do szwajcara.

— Raz... dwa... trzy... cztery... — rachował uderzenia pulsu. — Ach, jakże marudził... Raz... dwa... trzy... Zasnął, czy kiego dyabła?...

Zgrzytnął klucz, drzwi uchylły się... Na widok oficera szwajcar chciał zamknąć; ale Świrski rzucił się i gwałtem wszedł do sieni.

— Nie poznajecie mnie?... — zawołał.

— To pan?...

— Niema nikogo?...

— Nikogo... wszystko spokojnie...

— Rzeczy moje są?... Chcę się przebrać...

Szwajcar poprowadził go w głąb podwórza, do jakiegoś składu, przy którym znajdował się mały pokój. Zapalił świecę.

— Pan zmarł?... — rzekł szwajcar. — Możeby wódki?...

— Chyba bromu... — odpowiedział Świrski.

— Rumu nie mam, ale stary krupnik.

— Dajcie i krupnik...

Szwajcar wyszedł. Świrski niechcący spojrzął w małe, popękane lustro i prawie nie mógł się poznać. Miał oczy zapadnięte, twarz sinawą, a dolna szczęka dygotała mu w prawo... w lewo... w prawo... w lewo... prędej, aniżeli podniecone tętno.

Zdjął rewolwer i szablę, zrzucił szynel, pod którą była cywilna marynarka, odpiął od butów lakierowane cholewy i prędko narzucił paltot cywilny. Gdy ukazał się szwajcar z bu-

teleczką, Świrski wyrwał mu ją z rąk, przyłożył do ust i pił... pił... Potem z szyneli, czapki wojskowej i cholew zrobił zawiniątko, wsunął do niego szablę i rzekł:

— Do pieca można?...

— Jak trzeba, to można... — odpowiedział szwajcar, wzruszając ramionami.

Pobiegli obaj przez podwórko, wdrapali się na chwiejne schody i stanęli na szczycie pieca, podobnego do wieży, w głębi której, niby w studni, płonęło oślepiające ognisko. Świrski rzucił tam szablę i zawiniątko. Jaskrawa powierzchnia ogniska na chwilę pociemniała, zaróżowiła, a nareszcie odzyskała pierwotną barwę.

Świrski głęboko odetchnął. Dla niego jeszcze nie minęło niebezpieczeństwo, ale już nikt nie będzie skompromitowany!

— Chciałbym odpocząć — rzekł Świrski.

Szwajcar zaprowadził go do magazynu, skąd przez otwór, jemu tylko wiadomy, można było wymknąć się w pole.

— Chłodno tu, ale bezpiecznie — powiedział do Kazimierza. Życzył dobrej nocy i wyszedł, powłócząc nogami.

Świrski został sam, w ciemności. Zdało mu się, że słyszy ciężki, niespokojny oddech; chciał zapytać: kto tam?... Lecz spostrzegł, że to on sam dyszy. I nagle opanował go strach bezkształtny, bezdeny... Przypomniawszy sobie dwa słupy z chwiejącymi się u belki sznurami... przypomniał więzienie, w którym blisko pół godziny znajdował się za zamkniętą furtką, na krawędzi samobójstwa... Przypomniawszy bezczelne zuchwalstwo, z jakim przemawiał do człowieka, który mógł być je-

go ojcem... A nareszcie przypomniał sobie stek kłamstw, jakie popełniał każdym wyrazem, każdym ruchem. Ta konieczność wstawiania w siebie obcego charakteru, grania komedy o kilkanaście kroków od szubienicy wydała mu się czemś tak nieznośnym, tak okropnym, że schwycił się za głowę, chciał gdzieś uciec, a nadewszystko chciał krzyknąć w niebogłoso.

Ale ostatnim wysiłkiem woli opanował się, wbił chustkę w usta i tylko cicho jęczał: „A-u... a-u!“... Potem zaczął gimnastykować się rozpaczliwymi ruchami, wylamywał sobie palce, uderzał się pięściami w nogi i nareszcie zasnął.

Gdy nazajutrz o piątej rano zbudził go szwajcar, Świrski wytarł twarz i ręce sadzą, potem umył się i z grupą nocnych robotników opuścił fabrykę, nie zaczepiony przez nikogo. Wkrótce znalazł się we wsi podmiejskiej, gdzie najął konie u gospodarza znajomego i pojechał z nim w stronę Słomianek. Gdy wjechali w las, Świrski odzyskał dobry humor.

„Mam przeszło tysiąc rubli — myślał — a byle dostać się do Rożkowa, odpocznę za wszystkie czasy“...

— Jak myślicie — zapytał gospodarza — do Rożkowa wolna droga?

Chłop odwrócił się na siedzeniu i pokręcił głową.

— Oj, chyba nie wolna!... — odpowiedział. — Snuje się pełno wojska na wszystkie strony za tym Zajączkowskim, który ponoć wcale nie zginął, ino znowu broi...

Świrskiego tknęło niby przecucie.





STUDYA Z WYSTAWY SZKOŁY FOTOGRAFICZNEJ.

— A do Grudy jeszcze się przemknie?...

— E, do Grudy to pana i jabym odwiózł ze Słomianek. Tam spokojne drogi.

Grudy, to znaczy Galicya i bezpieczeństwo... bezpieczeństwo w ciągu niecałej doby!... Ale Rożków — to Jadwiga... Świrski przypomniał sobie pocałunki i uczuł, że bez zobaczenia Jadwigi nie potrafi wyjechać.

— Jedziemy, panie, do Grudy?... — spytał chłop.

— Nie. Jeszcze czas.

Po wydobyciu Chrzanowskiego z więzienia, a nadewszystko — po odzyskaniu sił Świrski uwierzył w swoje szczęście. Jeżeli wyszedł cało z tamtej pułapki, jakie już mogłoby mu grozić niebezpieczeństwo?

A tymczasem już w piątek, o dziesiątej, wieczorem, rozeszła się po mieście X. wiadomość o bezprzykładnie zuchwałym wykradzeniu Chrzanowskiego, a w sobotę o dziewiątej rano wojsko otoczyło fabrykę żelazną i dokonało ścisłej rewizji. Nie znaleziono nic, czegoś jednak — dowiedziano się i wieczorem aresztowano chłopca, który odwiózł Świrskiego do Słomianek.

Dębowski, jeden z pierwszych, usłyszał o dramacie więziennym i o tem, że policya szuka Świrskiego.

„To on taki ptaszek?... — myślał uradowany doktor. — No, gdyby teraz chciał, dam sobie za niego rękę uciąć. A policya niepotrzebnie trzusi się, szukając go. Ten spry-

ciarz już dziś wieczorem powinien być w Galicyi.“...

Naprawdę w sobotę wieczór Świrski był w Słomiankach i, leżąc w stodółce, na sianie, medytował: w jaki sposób, pomiędzy oddziałkami wojsk, przemknąć się do Rożków?

## XVII.

Po wszystkich drogach kręciło się wojsko albo strażnicy, więc Świrski, rad nie rad, zatrzymał się w Słomiankach, skąd zaczęła się nieszczęsna jego epopeja. Tu Rycerze Wolności mieli skład broni, tu zebrali się po wyjeździe z miasta, niedaleko stąd napadli starego Linowskiego. Ze Słomianek Świrski pojechał do Leśniczówki, gdzie upłynęło mu (tak myślał dzisiaj!) kilkanaście dni bodaj czy nie najszczęśliwszych w życiu. Nareszcie w Leśniczówce dowiedział się Kazimierz, że ex-czeladnik kowalski, Zając, wziął stąd broń i, najpierwej z kilkoma ludźmi, zaczął wojować na własną rękę...

Od napadu na starego Linowskiego upłynęło ledwie półtora miesiąca, a ileż w tym czasie zaszło wstrząsających wypadków, ileż zmian!... Sześć tygodni temu Kazimierz marzył o stworzeniu armii; dzisiaj nie mógł pomyśleć o tem bez wstrętu i zgrozy... Sześć tygodni temu kipiał radością i nadziejami Lisowski, a Starka uważany był za jednego ze zdolniejszych kandydatów na oficera; dziś Lisowski w grobie, a uwięziony Starka denuncjuje swoich niegdyś kolegów i przyjaciół!...

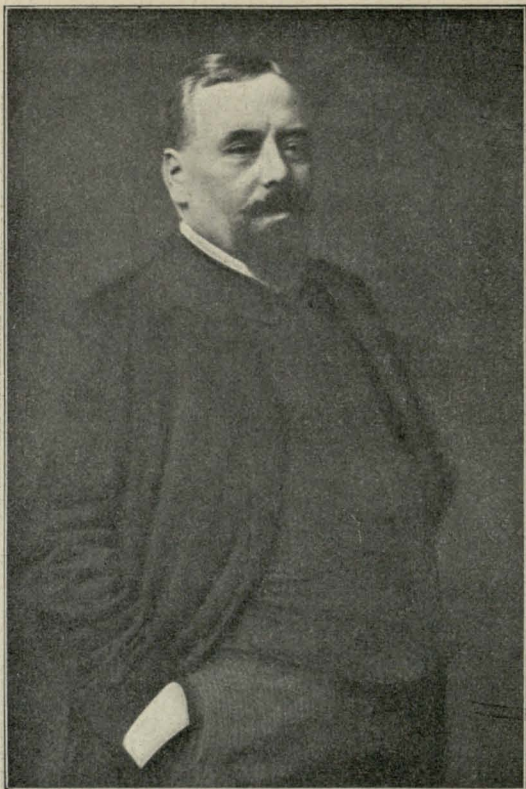
Takie i tym podobne myśli, niby rój much dokuczliwy, obsiadały duszę Kazimierza i zatruwały mu spokój, którego bardzo potrzebował. Jedynym środkiem przeciw natręctwu tych duchowych pasorzytów były... wspomnienia panny Jadwigi... Świrski wyobrażał sobie jej oczy mądre i figlarne, usta pieścizłote, włosy popielate, każdy ruch, każdą zmianę fizyognomii, powtarzał nieomal każdy jej wyraz... I czy może być, ażeby ona, taka ładna, tak trzymająca wszystkich w odległości od siebie, ażeby ona — tuliła się do niego?... Czy w rzeczy samej on na tyle stracił przytomność, że pochwycił ją i całował... całował... jak wariat?... A Jadwiga nie tylko nie obraziła się, ale jeszcze kazała mu przyjechać do Rożków!...

„Jeżeli mogłem — rozmyślał Świrski — co to jest: mogłem?... jeżeli musiałem trochę zaryzykować dla wydobycia Chrzanowskiego, tem bardziej muszę, choćby mi dyabli wiedzą co groziło, pojechać czy pójść do Rożków... Kobieta... Jadzia... naznaczyła mi widzenie, a ja miałbym się nie stawić?...”

Rozwagi te były powierzchowne i zbyt techniczne. Świrski nie potrzebował powoływać się na konieczność galanterii wobec dam, ponieważ czuł, że wspomnienie pocałunków przykuło go do Jadwigi, że go ciągnie i że on musi dążyć do niej, choćby mu śmierć stanęła na drodze. Nie innych zapewne uczuć doznaje cma wobec zapalanej świecy.

Musi — i basta!... Pierwszy w życiu pocałunek obłąkał go. Dopóki jeszcze miał obo-





PORTRET REDAKTORA K. OLCHOWICZA  
Z wystawy szkoły fotograficznej.

wiązek myśleć o wydobyciu z więzienia Chrzanowskiego, szła miłosny palił się gdzieś na drugim planie w jego duszy. Lecz od chwili, gdy Chrzanowski jest wolny, a zapewne i bezpieczny, miłość Świrskiego stała się, jak potok górski, który podsyciły deszcze, a żadna nie powstrzyma zaporą.

Kazimierz tonął w ognistym morzu namiętności. Niekiedy jednak płomienna ściana rozdierała się na chwilę, a wówczas młody chłopak zaczynał pojmować, że dzieje się z nim coś niezwykłego i niedobrego. Był strudzony, bardzo strudzony, wszystko drażniło go, męczył się łatwo, a jego sen był albo gorączkowym marzeniem, albo przykrą utratą przytomności, poza którą coś jednak kipiało i burzyło się w duszy.

„Do Rożków!... do Rożków!...“ — oto wyrazy, które najczęściej stawały mu w pamięci. Za nowe pocałunki Jadwigi oddałby cztery życia, gdyby je miał... oddałby nawet wieczność, gdyby w nią wierzył.

Chociaż — i niewiara w życie wieczne zaczęła się także modyfikować. Bo czy mógł on przypuścić, ażeby — na przykład — Jadwiga umarła i ażeby już nic z niej nie pozostało oprócz garstki popiołu?... Nie, tak być nie może, gdyż natura dopuściłaby się już nie tylko okropnej, ale wprost — nikczemnej niesprawiedliwości... Przecież Dębowski człowiek rozumny, a jednak — trochę wierzy w życie przyszłe... Kto zatem wie, czy tego życia niema?... A jeżeli jest, więc i Bóg musi istnieć... A w takim razie człowiek może bez śmieszności oddawać się w obronę siłom nadziemskim i niekiedy ma prawo powiedzieć: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... jak uczyła go poczciwa Linowska.

„Muszę pogadać o tych rzeczach z księdzem Stanisławem...“ — rzekł do siebie Kazimierz i ucieszył się, że ma — jeszcze jeden powód wybrania się do Rożków. I taki ważny powód!...

W Słomiankach spędził Świrski dwa dni i trzy noce; były to przykre czasy widzeń gorączkowych i dziwacznych projektów. Raz, przez całą godzinę, rozmyślał nad tem, ażeby odwiedzić Linowską w Leśniczówce; innym razem postanawiał sobie, że, po wizycie u Jadwigi w Rożkach, pojedzie w stronę Świrków i zawiadomi stryja, ażeby się z nim zobaczył. Oba projekty były rezultatem ogarniającej go i coraz silniejszej tęsknoty, nie tyle może za stryjem, ile za dzieciństwem, nie tyle za Leśniczówką, ile za spokojem.

Ach, żeby chociaż z tydzień odpocząć!... Żeby choć parę... choć jedną noc dobrze przespać!...

Przytem dręczył go nieokreślony niepokój: zdawało mu się, że lada dzień, jeżeli nie lada chwila, coś się stanie, coś niezwykłego... Pragnął, ażeby się to już stało, ale bieg życia nie stosował się do jego pragnień.

Świrski przypomniał sobie, że, kiedy w piątek wieczorem po wykradzeniu Chrzanowskiego był bardzo rozdrażniony, uspokoił go krupnik... wódka z miodem... Więc i teraz poprosił gajowego, ażeby dał mu wódki z miodem. Przygotowano jej całą flaszkę, którą Świrski popijał, wprawdzie ze wstrętem, ale — co parę godzin kieliszek. Zdawało mu się, że jest spokojniejszy; naprawdę — rozdrażniał się coraz mocniej.

Ile razy gajowy powrócił z lasu do domu, Kazimierz wybiegał naprzeciw niego i, prawie drżący, wypytywał: co słychać?... czy wojsko wyszło z Rożków?... Wojsko z Rożków nie wyszło, choć miała lada chwila opuścić osadę, inne wiadomości były skąpe.

Nareszcie przyszła ciekawsza wieść. Oto Zajczkowski, który wcale nie zginął, przed paroma dniami napadł urząd gminny w Zatorach, a gdy nadbiegli strażnicy z kozakami, zamknął się w budynku gminnym i bronił tak wściekle, że oblegający musieli się cofnąć. Wówczas bandyta, zostawiwszy paru swoich zabitych i, dobiwszy jednego ciężej rannego towarzysza, uciekł z pozostałymi!... Gdy zaś przybiegł nowy oddział kozaków, już nie znalazł nikogo, przynajmniej z żywych.

Między gajowymi krążyła pogłoska, że od tej pory każdy dom, w którym broniliby się Zajczkowski, że każdy taki dom zostanie zburzony armatami.

Świrski już był poirytowany na Zajczkowskiego za zagrabienie owych 3,000 rubli, które stryj wysłał mu do partyi; gniew i po-



PORTRET MECENASA S. PATKA  
Z wystawy szkoły fotograficznej.



PORTRET MECENASA L. PAPIESKIEGO  
Z wystawy szkoły fotograficznej.

garda ogarniała go na myśl, że ten bandyta morduje własnych rannych. Ale jednocześnie nie mógł obronić się przed uczuciem podziwu dla tego biednego, nieoświeconego rzemieślnika, który niekiedy miewał genialne natchnienia, a w innych warunkach mógł być zostać bohaterem, gdyż nie brakło mu nawet szlachetnych instynktów, ani chęci do wyzbycia się ciężkich wad. Zdemoralizowała go tylko zasada „walki klas“ i „ekspropriacji“, ciągle głoszona na zebraniach przedrewolucyjnych.

„Zmarnowali i sprawę, i ludzi!...“ — pomyślał Świrski z goryczą.

Najgorsze były noce. Pomimo sporych ilości krupniku Kazimierz nie mógł spać, a jeżeli zasnął, napastowały go przykre marzenia. Właściwie nie były to nawet marzenia, ale jakby widzenia. Jednej naprzykład nocy, gdy stracił wiedzę o tem, że jest w Słomiankach, wspomnienie przeniosło go do miasta X., do owej kamienicy przy Nowym Placu, z której okna był mimowolnym świadkiem zabicia policmajstra. Jak wówczas — stał w oknie, jak wówczas — widział na środku placu z jednej strony nadjeżdżające sanki, z drugiej szewckiego chłopca w podskokach... Ale tym razem wiedział, że za chwilę upadnie bomba i na myśl o tem włosy powstały mu na głowie... Chciał uciekać — nie mógł... Chciał zamknąć oczy, ale powieki stały się przezroczystymi i widział wszystko... Chciał zasłonić uszy, ale w żaden sposób nie mógł podnieść rąk, które były ciężkie, jak ołów... Obudził się, krzycząc, i — już nie zasnął.

Innej nocy rozdrażniona pamięć wskrzesiła mu scenę, kiedy uwalniał Chrzanowskiego. Widział sklepioną kancelaryę więzienia, widział suchą figurkę nadziratela i bujną, żółtą czuprynę pisarza... Lecz, gdy zażądał od nich, ażeby kazali przyprowadzić Chrzanowskiego, nadziretel odpowiedział, że więźnia niema tutaj, ponieważ przeniesiono go do koszar.

— W takim razie pojedę do koszar — rzekł Świrski, przebrany za oficera. I wyszedł. Ale w korytarzu zgłoś-



## STUDYA PORTRETOWE Z WYSTAWY SZKOŁY FOTOGRAFICZNEJ.



światło i nie mógł trafić do schodów, a gdy wreszcie zeszedł na dół, przekonał się, że w bramie niema stróża z kluczem. Furtki nie mógł otworzyć, a na dziedzińcu nie miał odwagi wejść, nie wszedłby tam za skarby świata. Więc zrozpaczony ukrył się w najciemniejszym kącie i—ujrzał naprzeciw tajemnicze okienko, w którym nadzirateli i pisarz cicho się śmieli.

Świrski spał w stodole. Sen o więzieniu przeraził go tak, że chłopak z siana stoczył się na klepisko i chciał—gdzieś uciekać. Dopiero przejmujące zimno otrzeźwiło go, ale nie uspokoiło.

Po chwili skrzypnęły drzwi stodółki i wszedł gajowy z latarnią.

— Panie naczelniku — rzekł do Świrskiego—sałaty z Rożków wyniosły się...

— Więc moglibyśmy tam pojechać?...

— Choćby zaraz, jeżeli pan naczelnik każe...

— Moi złoci... mój Teofilu... — odezwał się Kazimierz tonem błagalnym —przestańcież mnie raz u dyabła przezywać naczelnikiem... Nie jestem nim i nigdy nie byłem...

— Jak pan na... jak panicz każe —poprawił się gajowy.

W ciągu pół godziny gospodyni zagrzała herbaty, a jej mąż założył chudego konia. Świrski szybko wypił śniadanie, uściskał oboje gajowych, zostawił im dwie trzy rublówki i siadł na sanki. W drodze odezwał się gajowy:

— A panicz wiedzą, że wczoraj kręcił się koło Piaseckiego ten... ten Stasiak.

— Ten mały, co to biegał na wywiady z partyi Zajązkowskiego? — spytał Kazimierz.

— Jużci on. Ale choroba go wie, o co on się teraz wywiaduje i dla kogo...

— Posądzałibyście go?...

— Nie posadzamy, ino się boimy...—mówił gajowy. —To, panie, podlec musi być, żeby nie powiedział w złą godzinę...

— Z czego wnosicie?

— Wczoraj, u Piaseckiego, Stasiak wypytywał się: czy nie wiedzą, gdzie jest Zajązkowski? A kiedy mu powiedzieli, że z takim zbójem nie mają nic do czynienia, więc wtedy Stasiak zapytał się: czy gdzie nie widzieli panicza... niby pana naczelnika Świrskiego...

— Żartujecie!...—wtrącił Kazimierz.

— Żeby tak zdrow był, jako mówię prawdę. Więc zaraz Piasecki pomyślał se, oj! niedobrze... i dał mi znać. Ale ja nie chciałem budzić panicza i zeszło mi do dziś rana...

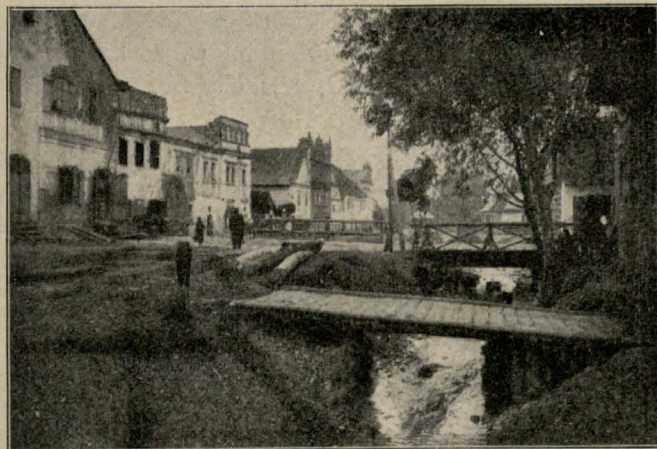
Świrski pomyślał, że może, za pośrednictwem Staśka, poszukuje go Zajązkowski... „Może zechce mi co zwrócić z trzech tysięcy rubli, które gwizdnął?...” rzekł w sobie z uśmiechem. Gajowy odezwał się znowu:

— Ja, panie na... ja, paniczu, rozważam sobie, że może nie *kuniecznie* dobrze robią te rewolucjonisty, kiedy takich małych wciągają do rewolucyi?...

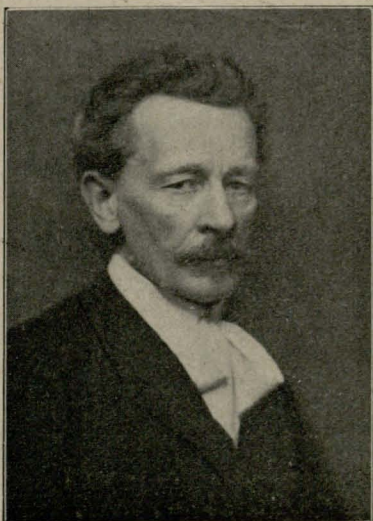
Świrski mimowoli zarumienił się na wzmiankę o zbyt młodych rewolucjonistach. Gajowy prawił dalej:

— Człowiek starszy niech sobie robi, co chce; *un* ma już rozum. Ale taki mały, kiedy się rozpróżniaczy, biegając po wsiach i lasach na przeszpiegi, to już nie weźmie się do żadnej roboty, nawet choćby oddać go do rzemiosła. *Un* już ciągle będzie latał za polityką. Tam zełże, tu ukradnie, a jeszcze, nie daj, Boże, żeby kogo nie zabił, albo na swoich własnych nieszczęścia nie sprowadził...

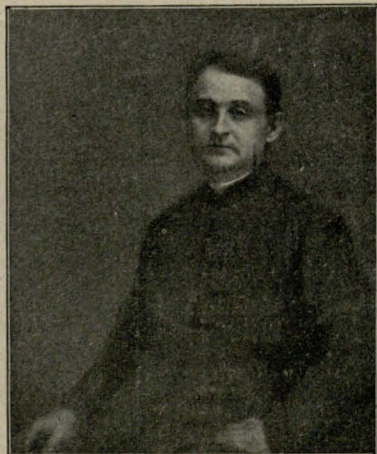
Świrski słuchał w milczeniu. Czuł racyę w słowach gajowego, ale nie mógł przecie oburzać się na robienie polityki przez dzieci, on, który w ośmnastym roku życia chciał tworzyć armię!...



ULICA W KAZIMIERZU NAD WISŁĄ



J. A. ŚWIĘCICKI.



Ks. WŁ. KIRCHNER.

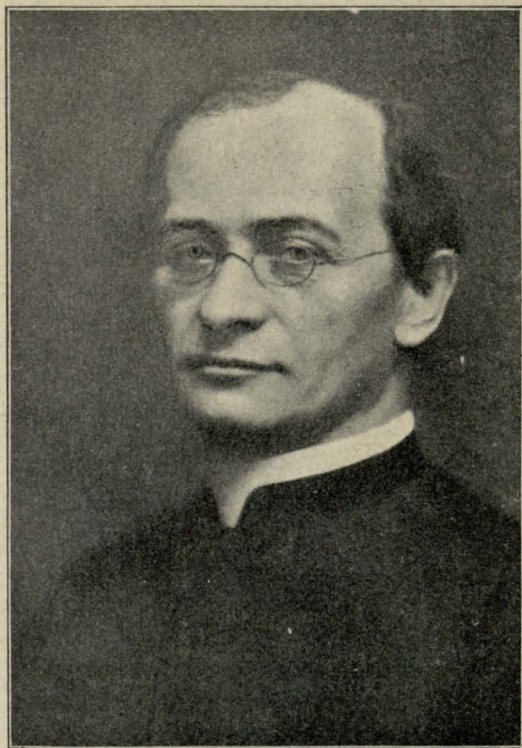


Ks. SZYNCLAROWSKI.



H. KUNA, art.-rzeźbiarz.





PORTRET Ks. JANA GRALEWSKIEGO  
Z wystawy szkoły fotograficznej.

Około dziewiątej rano Kazimierz ze swym przewodnikiem dojechali do Suchych Stawów, gdzie mieszkał szwagier gajowego. Stąd do Rożków było trzy wiorsty, które Świrski przeszedł sam, upewniwszy się, że w osadzie niema wojska, ani strażników. O dwunastej w południe zapukał do drzwi proboszcza.

Ksiądz Stanisław sam otworzył, spojrzął i cofnął się.

— To ty, Kaziu?... — zapytał zniżonym głosem.

— Na dziś jestem August Szulc — odpowiedział Świrski z uśmiechem.

— Ty tutaj?... — dziwił się ksiądz. — A mówiła mi panna Jadwiga... mówiła...

— Co mówiła?...

— No, o tem, co było w piątek... z policmajstrem...

— Ach, że go zabil!... Ja nie należałem do tej sprawy... Nawet nie dotknąłem jej.

— Mówisz prawdę?... Pewnie, że mówisz prawdę... Chwała Bogu!... — ciągnął ksiądz. — Dawne to czasy, już z ośm lat, jak byłem twoim nauczycielem; zawsze jednak wolę, że nie należałeś do morderstwa. Ale w takim razie o czemże myślała panna Jadwiga?... Wejź, Kaziu...

Ksiądz, ciągle jakby zmieszany i niespokojny, wprowadził Świrskiego do kancelaryi i wskazał krzesło. Kazimierz obrzucił okiem proboszcza, z którym nie widzieli się od dwu lat. Spozrzegł, że jego niegdyś nauczyciel w ciągu krótkiego czasu wychudł, pochylił się; ciemne oczy wpadły, twarz nabrała suchotniczego wyglądu.

— Więc cóż?... więc cóż?... — szeptał ksiądz. — Nikogo nie zabiłeś?...

— Wydobyłem kolegę z więzienia... — odpowiedział tym samym tonem Świrski.

— Tego... tego, co to w piątek ktoś go wykradł?...

— Chranowskiego...

— Aha... aha!... Chwat jesteś... Choc zdaje się, że jesteś ścigany...

— Może robię kłopot księdzu proboszczowi?... — spytał Kazimierz, zrywając się z krzesła.

Ksiądz schwycił go za ręce i gwałtem posadził.

— Dajże spokój!... — rzekł. — Błogosławieni, którzy uwalniają niewinnych. Przecież świętego Piotra anioł wyprowadził z więzienia... Zostaniesz u mnie, jak długo podoba ci się... Zaraz dadzą obiad... Poznasz oryginalnego człowieka, choć... radzę być ostrożnym...

— Czy mógłbym przed obiadem wpaść na chwilę do panny Jadwigi?... — spytał Świrski, czując, że rumieni się.

— Panny Jadwigi niema, wyjechała na parę dni... Na obiadek mamy: sztukę mięsa z rydzami marynowanymi i pieczoną kaczkę z buraczkami... Na więcej nie stać biednego proboszcza...

Na wiadomość o wyjeździe Jadwigi Świrskiemu pociemniało w oczach. Energia, jaką jeszcze posiadał, opuściła go.

„Gdzież ja tu parę dni wytrzymam bez niej?...” — pomyślał i zapytał głośno:

— A czy daleko pojechała?...

W tej chwili stuknęły drzwi, proboszcz podniósł się z krzesła i rzekł:

— Pan August Szulc... pan Lombarcki...

Świrski obejrzał się i spostrzegł mężczyznę silnie zbudowanego, z wojskowymi ruchami, przenikliwym spojrzeniem i rudawymi wąsikami, zakręconymi *à la* Wilhelm II-gi.

— Trochę... cokolwiek nie wygląda pan ani na Augusta, ani na Szulca, ale to nie należy do mnie... — odezwał się nowy gość. — Ja jestem agentem maszyn do szycia, rowerów, maszyn piszących, gramofonów, telefonów folwarcznych, a nawet automobilów. Gdyby mnie zaś kto grzecznie poprosił, może znalazłbym trochę brauningów, a nawet mauserów... — dokończył, ściskając Świrskiego za rękę.

— Pan Lombarcki jest Polak... z Poznaniańskiego... — wtrącił proboszcz.

Rudawe wąsiki uniwersalnego agenta drgnęły:

— Ośmielę się zrobić poprawkę szanownemu proboszczowi. Jestem polski patriota, ale pruski obywatel... Czego możecie mi panowie zazdrościć...

— No... pan ciągle... — zaczął proboszcz.

— Przepraszam!... — przerwał Lombarcki. — Szanowny proboszcz ciągle posądza mnie o żarty, a ja całkiem poważnie ubolewam, że panowie rodacy z tego kraju nie jesteście moimi współobywatelami...

— O, tobyśmy wygrali!... — mimowolnie wykrzyknął Świrski.

— I bardzo!... — pochwycił Lombarcki. — Przedewszystkiem ludzie porządni nie byliby ścigani, jak dzikie zwierzęta... Powtóre, dla pozyskania reform społecznych nie robiłoby się krwawej rewolucyj; wystarczyłyby zwykłe agitacje i rozprawy w parlamencie... Po trzecie, nie byłoby w kraju tylu złodzieją i bandytów... Po czwarte, robotni-

cy wprawdzie nie sądziliby, że mogą strajkować na koszt swoich pracodawców, ale za to mieliby na starość emeryturę... Po piąte, spokojny obywatel nie drżałby ze strachu, że może być aresztowany, obłożony karą pieniężną, a nawet zesłany...

Proboszcz zaczął trząść rękoma nad głową.

— O, za pozwoleniem — rzekł — pan dobrodziej mówisz o tem, co było, a zapominasz o zmianach, jakie zaszły. Rosya już stała się państwem konstytucyjnym i może liberalniejszym od waszych tam Prus...

— Rozumiem — przerwał Lombarcki. — Jakieś drzewo, przez kilkadziesiąt lat, rodziło dzikie gruszki; ale na skutek zażegnania, dokonanych przez Hapona i Chrustalewa, zaczęły rodzić ananasy... Rogi mi wyrosną, jeżeli Rosya stanie się państwem praworządnym... Już my w tem jesteśmy!...

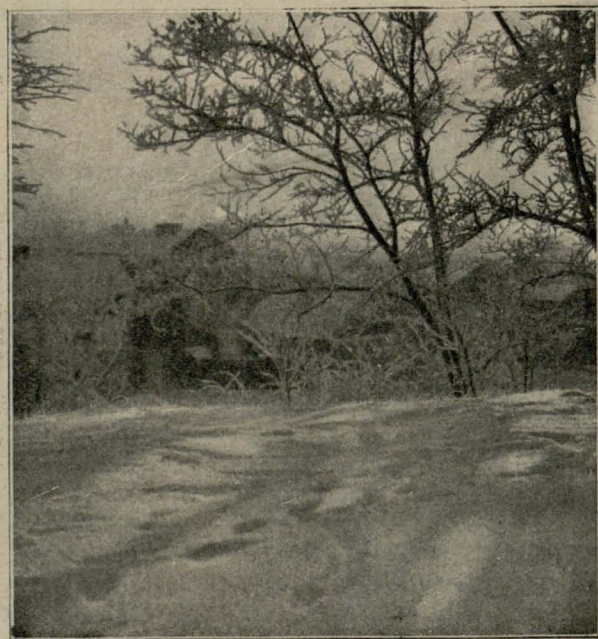
— Jacy wy?... — zapytał Świrski.

— Powiedziałem panu: jestem polski patriota, ale pruski, słyszy pan, pruski obywatel... Na mojej chorągwi napisano z jednej strony: „Jeszcze Polska nie zginęła!” z drugiej: „Hoch der Kaiser!...” Zatem: *my*, to znaczy państwo niemieckie... I życzę moim tutejszym rodakom, ażeby czempredziej mogli to powiedzieć o sobie.

— Tego pan nie usłyszysz — rzekł proboszcz. — Znadto dobrze poznaliśmy Niemców...

— Wcale ich nie znacie! — zawołał Lombarcki. — Niemcy to dobrobyt, porządek i wolność na wewnątrz, a siła na zewnątrz... Niemcy to praca, oparta na mądrości, to ściśle połączenie energii nieugiętej z najwyższą wiedzą naukową... A wy tutaj co?... Nędzarze, ciemni, rozleniwieni, chaotyczni i tak zwyrodnieni niewolą, że już przestaliście czuć jej obrożę... Ale mam nadzieję, że moi rodacy, zdolni z natury, choć zaniedbani, spostrzegą się kiedyś i zrozumieją, że w związku z Niemcami czeka ich wielka cywilizacja, wspaniała byt materyalny i ludzka godność, a przy Rosyi tylko — więzienie, w którym zgniją...

— A wie pan — wybuchnął Świrski — że ja pierwszy raz słyszę coś podobnego!...



ZIMA

Z wystawy szkoły fotograficznej



Przecież Poznańskie zalewają Niemcy, i wkrótce może już tam zabraknąć Polaków...

— Nie bój się pan, panie Szulc!... — odparł z irytacją Lombarcki. — Poznańscy, dzięki obecności Niemców, już dziś są dzielnymi synami kultury; ale co będzie, gdy was, tutaj, zaleją Żydzi rosyjscy, w prezen- cie od Rosyi?... Ale wy się jeszcze ockniecie!...

— Niby z czego?... — zapytał Świrski, patrząc mu w oczy.

— Z tej świeżej miłości do Rosyan... I dopiero kiedy przekonacie się, że tak dobrze będą was dusić rewolucyoniści, jak i biurokracya, dopiero wówczas poprawicie nieopłakany błąd waszych ojców...

— Wolno wiedzieć jaki?... — wtrącił Ka- zimierz.

— Obiad, panowie... obiad... — odezwał się proboszcz, widząc we drzwiach poko- jówkę.

— Więc powiem krótko — mówił Lom- baczki. — W roku 1863-im Polacy mieli możność prosić króla pruskiego, ażeby Kró- lestwo Polskie przyłączył do swoich posia- dłości. Mieli możność i... odtrącili ją, sza- leńcy!...

— No, chodźmy już, chodźmy... — na- legał proboszcz. — Dostyc tej polityki, na któ- rej my się nie rozumiemy. Dla nas Niemiec to zawsze Niemiec, wróg nieprzejednany...

Obiad był niezły, proboszcz jednak nie miał apetytu. Za to Lombarcki jadł i pił za dwóch i coraz pieprzniejsze opowia- dał anegdotki. Świrski wypił przed obiadem dwa kieliszki wódki, później około butelki nieosobliwego piwa, a w końcu obiadu tyle przełknął wina, że się nawet ożywił. Po czarnej kawie uniwersalny agent ślicznie po- dziękował proboszczowi i — odjechał.

— Co to za jeden?... — spytał Świrski.

— Czy ja wiem?... — odpowiedział markotnie proboszcz. — Niby to Polak z Po- znańskiego, niby katolik... Przyjmuję go, bo ułatwił mi kupno czterech apostołów i Matki Boskiej, bardzo ładnie wyrzeźbionych, wy- malowanych i — tanich. Uważam jednak, że najwięcej kręci on się między kolonistami niemieckimi, wspomina się o kupnie i par- celacyi jakiegoś wielkiego majątku, a jeżeli się nie mylę, parę lat temu czytałem w ga- zetach o jakimś Lombarckim, który w Po- znańskiem ułatwiał komisji kolonizacyjnej nabywanie ziemi od Polaków. Ale czy to ten sam?... nie wiem.

Świrski, zarumieniony, z błyszczącemi oczyma, kręcił się na krześle i, ledwie skoń- czył proboszcz, zapytał go:

— Gdzież to pojechała panna Ja- dwiga?...

Trochę zdziwiony proboszcz odpowie- dział po namyśle:

— Pojechała bodajże na dwa dni, o milkę stąd.. Do siostry tego pana Kle- mensa, co to jest administratorem u Pu- chalskich...

— A ona tam po co?... — rzucił się Ka- zimierz. — Przecież teraz dzieci najchętniej chodzą do szkoły...

Ksiądz zapalił papierosa.

— Phil!... — rzekł powoli, Panna Jadwiga, uboga panienska, z blizkich niema nikogo, uczy dzieci bardzo gorliwie i pięknie, uczy

nawet starych, rozdaje książeczki. Dobra pa- nienka, no i ładna.. ładna, ale — uboga... A że ten pan Klemens kocha się w niej do utra- ty rozumu, więc jego siostra, bardzo słusznie zresztą, chciałyby panienskę zjednać dla bra- ta... Co tobie?

Ksiądz podbiegł do Świrskiego, który zbladł, jak papier, i opuścił głowę na piersi.

— Co tobie, Kazioczku?... — mówił ksiądz. — Czy może za wiele... piłeś?...

— Jestem strasznie zmęczony... — szep- nął Kazimierz. — Od kilku dni zupełnie nie sypiam...

— Więc połóż się...

— A jeżeli wpadną kozacy?...

— Będę czuwał — odpowiedział ksiądz. — Wreszcie wezmą nas obu...

— Ale tylko mnie powiesz!... To jest... nie powiesz!...

— Bój się Boga!... co mówisz?... za co?...

Kazimierz jak najtreściwiej opowiedział swoją historję od napadu na starego Linow- skiego do wykradzenia Chrzanowskiego. Ksiądz, słuchając, trzymał się za głowę i chwiał całym ciałem w prawo... w lewo... w prawo... w lewo...

— Miły człowieku — rzekł w końcu — jesteś największym bohaterem jakiego, wydała ta nieszczęsna rewolucya, ale... dlaczegoż ty natychmiast nie uciekłeś zagranicę?...

— Chciałem... chciałem spotkać tego gałgana Zajączkowskiego i choć trochę ode- brać pieniędzy...

— Bój się Boga!... a któż naraża ży- cie choćby dla setek tysięcy?... Nigdybym nie myślał, że dla takiego głupstwa zostałeś się tu, gdzie na wszystkie strony kręci się woj- sko, goniąc właśnie tego nieszczęsnego Za- jąca... i — ciebie!... — mówił ksiądz.

Świrski zacisnął zęby. Wolałby zginąć, aniżeli przyznać się, że przyszedł tutaj dla Jadwigi... Dla tej Jadwigi, która opuszcza szkołę, ażeby siostrze pana Klemensa ułatwić swaty!...

I znowu, jak przed kilkoma tygodniami, coś zawałilo się w jego duszy, i uczuł pustkę, straszną pustkę, bez dna i granic...

— Pojechała w konkury!... — rzekł pół- głosem.

— Co mówisz, kochany?... — spytał pro- boszcz.

— Nie wiem sam, co plotę; ale myśla- łem w tej chwili, ażeby już raz skończyła się ta obrzydliwa niby-rewolucya!...

— To nie *niby* — pochwylił ksiądz — to najstraszniejsza rewolucya, jaka kiedykol- wiek przeleciała przez nasz kraj...

— No, taka znowu straszna!... Silniej- sza była w 63-im roku, w 31-ym... W owe czasy bili się...

— Co znaczą bitwy?... — mówił ksiądz.

— Dzisiaj spełniają się rzeczy tysiąc razy gorsze i głębsze, wewnątrz samego narodu... Terminator i czeladnik zmagają się przeciw majstrowi, robotnicy przeciw fabrykantom, kobiety nie chcą być żonami i matkami, a na- wet młodzież, nadzieja kraju, naraża się, za- miast gromadzić skarby wiedzy...

— Więc módlcie się, panowie — rzekł Świrski tonem drwiącym — módlcie się, a mo- że Bóg wysłucha i odmieni!...

Ksiądz chwiał głową ze smutkiem.

— Dziś człowiek i tego nie jest pew- ny... Dziś pisze się i mówi głośno, że Bóg to wytwór chorobliwej wyobraźni, że Jezus Chrystus to był marzyciel, nie mający po- jęcia o filozofii, sztuce, naukach, nawet o pań- stwie rzymskiem i Grecyi... Wprowadzał lu- dzi w błąd, nawet nie był filantropem, lecz fanatykiem. A już nie mógł być Synem Bo- żym, skoro i Boga niema... I tak gadają... tak gadają... tak mącą w głowach, że nieraz człowiek pyta się z trwogą: po co ja to wszystko mówię i robię — co mówię i robię?...

Kazimierz z początku słuchał wynu- rzeń z półuśmiechem, później z uwagą, w końcu — z beznadziejnym smutkiem. Znowu przypomniał sobie radę Linowskiej: W chwili niebezpieczeństwa mów: „Pod Twoją obronę“ i „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu“... i wstrząsnął głową. Oczywiście, człowiek nie ma komu oddawać się w obronę i nie ma kogo prosić o miłosierdzie. Na tym świecie Dóg już przestał być widocznym, jego kapła- ni stracili wiarę, a „ziemskie anioły“ po to nas zapraszają do siebie, ażebyśmy, wy- mknąwszy się niebezpieczeństwu, nie znaj- dywali ich w domu...

„Pojechała do siostry pana Klemensa ułatwić mu konkury... a kilka dni temu cało- wała się ze mną!“... pomyślał. Zdawało mu się, że dusza jego jest olbrzymią równiną, zalaną płytkimi wodami, ponad którymi unosi się pustka, ciemność i rozpaczliwy smutek.

— Ach, spać... spać... — szepnął.

— Wiesz co — rzekł ksiądz — zaprowa- dzę cię do jednego gospodarza, który mieszka niedaleko lasu; tam będziesz mógł bez- bezpiecznie przenocować.

— Chcę jechać do granicy... — odpo- wiedział Kazimierz.

— Masz słuszność — rzekł ksiądz, przy- patrzywszy mu się z uwagą. — Potrzebujesz naprawdę wypoczynku, ale dłuższego, a o ten u nas trudno...

Świrski wyprosił flaszkę wódki i po- szedł z księdzem do gospodarza pod las. Umówiono się, że pójdzie spać do stodoły, a około czwartej z rana wyjadą z chłopem w stronę granicy galicyjskiej, do której było stąd około dziesięciu mil.

— Jutro o tej porze powinniście być w Grudzie — rzekł ksiądz do chłopca.

— Jak Bóg pozwoli — odparł gospo- darz. — Musimy trzymać się ścieżek, bo na drogach pełno wojska.

Kiedy Świrski odprowadzał księdza do wrót, spostrzegli około płota drobny cień.

— Litościwe państwo — jęknął cień — dajcie grosik nieszczęśliwemu podróżnemu... O, pan naczelnik...

Cień przypadł do Świrskiego i przycze- pił mu się do ręki.

— Nie wie też pan naczelnik, gdzie jest pan kapitan Zajączkowski?..

Kazimierz poznał Staśka, i dreszcz nim wstrząsnął. Przypomniał sobie podejrzenia ga- jowego.

— Co ty tu robisz?... ty ciągle żebrzesz?..

— Szukam i szukam pana kapitana... — odparł Stasiek. — Żeby tak miał choć z parę złotych...



Świrski dał mu rubla i drobnych. Chłopak znowu pocałował go w rękę i—jakby rozplynął się w ciemności.

— Co to za jeden?.. skąd się tu wziął?..— zapytał ksiądz.

— Bardzo dwuznaczna figura!..— odpowiedział Kazimierz. — Ale z głodu nie powinien zdychać.

Gdy Świrski pożegnał księdza i wrócił do chaty, namówił gospodarza, aby wyjechali nie o czwartej, lecz o drugiej po północy. Chłopak, po namyśle, zgodził się i odprowadził Kazimierza do stodoły, życząc dobrego snu.

Od obiadu Świrski czuł nieprzyjemny chłód w całym ciele; teraz począł drzeć, aż chwilami zęby mu szczękały. Więc wydobyl flaszkę z wódką od proboszcza, odkorkował i—wypił jednym tchem przynajmniej ze szklankę. Wódka była mocna, ale na Świrskim zrobiła wrażenie zimnej wody. Dreszcze nie ustały, tylko zaczęła go palić skóra, a w myślach robiło się coraz jaśniej, tak jasno, że nawet nie odczuwał ciemności, wypełniającej stodołę.

I otóż przy blasku tego mistycznego światła własne życie Kazimierza przedstawiło mu się z nowej strony, o której nawet nie przypuszczał, że istnieje.

Miał przed oczyma obóz Zajączkowskiego, właściwie tę jaskinię, w której pierwszy raz ułożył się na spoczynek. Widział ognisko, dokoła ciemne figury partyzantów; między nimi wyróżniał się człowiek w burce, z imbrykiem, człowiek, który mówił:

„Po co tu ten panicz?.. Ja nie dowierzałbym paniczom... Niech takiego złapią, zaraz wszystko wygada i nawet sprowadzi żandarmów...“

On, Świrski... On wszystko wygada i nawet sprowadzi żandarmów!.. I kto ośmielił się wyrzec coś podobnego?.. Jakiś oberwaniec, z cerą miedzianej barwy i nigdy nie czesany włosami. On powiedział, ale... czy inni nie myśleli, tak jak on?..

Przecież Linowska, kiedy Władek miał jechać do Grudy, oświadczyła, że z łatwością ukryje Świrskiego. A dlaczego nie ukryła?.. dlaczego pozwoliła mu wyjść z bandą Zajączkowskiego?.. A co to powiedział gajowy Teofil o młodzieży, zajmującej się polityką?.. że takim nie można ufać... A proboszcz dlaczego nie zatrzymał (powinien był zatrzymać gwałtem!), dlaczego nie zatrzymał go na probostwie, tylko zaprowadził na nocleg do chłopa i jak najprędzej radził wyjeżdżać?..

I to jest godne uwagi, że ksiądz Stanisław, choć niegdyś bardzo kochał go, dziś rozmawiał z nim ostrożnie... A ten Lombarcki, wprawdzie gadał dużo, ale zaraz po obiedzie zniknął, może ostrzeżony przez proboszcza?..

— Nikt mi nie ufa.. wszyscy mnie o coś podejrzewają — szepnął do siebie Kazimierz.—A jeżeli posądzają mnie jakiś bandyta, Linowska, ksiądz, pruski agent i nawet ten poczcwiec gajowy, czy więc podobna dziwić się, że Jadwiga uciekła przede mną i gotowa jest wyjść za Klemensa, którego przecie nikt nie podejrzewa...

Świrski ocknął się. Już było mu cieplej, nawet gorąco, ale trochę zaczęła go boleć głowa. Przypomniał sobie swoje majaczenia i z uśmiechem powiedział: „Głupstwa mi się plotą!..“

Wkrótce spadł na niego ciężki, męczący półsen. Stodoła znajdowała się niedaleko obory, z której chwilami zalatywał ostry zapach amoniaku. Świrski poczuł to i przypomniał sobie zupełnie inną woń, z którą spotkał się przed kilkoma laty, gdy ze znajomym sędzią śledczym oglądał raz więzienie. Otworzono im drzwi do izby, w której mieszkało dwudziestu aresztantów, i z tej izby wionął tak straszny, szpitalny czy trupiarniany zaduch, że Kazimierz o mało nie zemdłał. Ta właśnie woń z całą potęgą przypomniała się obecnie.

Teraz przywidziało mu się, że — jest w więzieniu, w izdebce gnębiąco ciasnej, do której wchodziło się przez korytarz jeszcze ciaśniejszy. Ściany były grube, a sklepienie zdawało się ugiąć pod ciężarem murów. W izdebce, na wysokości człowieka, ujrzał gęsto zakratowane okno, poza którym działo się coś strasznego.

Mieszkańcem więziennej celi właściwie nie był on, Świrski, ale ktoś bardzo bliski jemu, ktoś, kogo jak najdoskonalej odczuwał. Więc czuł, że aresztant ma rozpaczliwy wstręt do więzienia, że, aby wyjść stamtąd, rękoma szarpałby mury. Ale wyjść nie było można. Mury za grube, korytarze za długie, drzwi zanadto mocne. Był tylko jeden sposób wyjścia, który więźniowi proponowano, ale na który on zgodzić się nie chciał.

„Lepiej zginać!..“ — powtarzał sobie.

Nagle przez okno wpadł do celi migotliwy blask. Na dziedzińcu zapalono latarnię, przy której świetle więzień spostrzegł dwa słupy i belkę poprzeczną, ze zwieszającymi się sznurami. Za oknem słychać było szmery, stapania wielu nóg, szamotanie, jęki... Sznur zniżył się... za chwilę podniósł się wyprężony... i przy żółtawym świetle więzień zobaczył—niewielki, szary przedmiot, jakby wierzch ludzkiej głowy, nakrytej płóciennym workiem. Przedmiot ten gwałtownie poruszył się kilka razy, a potem — zaczął chwiać się ruchem jednostajnym w prawo... w lewo...

Świrskiemu zabrakło tchu, a więzień zaczął krzyczeć nieludzkimi głosami... Wtedy otworzyły się drzwi, i stanęła w nich niewyraźna postać.

„Powiesz?..“ — zapytał stojący w progu. „Powie...—jęknął więzień—ale mi nic złego nie zrobicie?..“ „Nic, jeżeli powiesz wszystko...“ „I pokażesz?..“ „I pokażę...“ „I doprowadzisz?..“ „I doprowadzę, tak mi Boże dopomóż!..“

— Ratunku!.. ratunku!..—zawołał Świrski. Zerwał się i usiadł w słomie. Rozejrzył się: nie był w więzieniu, lecz w ciemnej stodole. I nagle uczył strach, ohydny, nikczemny strach, ażeby, dla uratowania się od szubienicy, nie popełnić tego, na co zdecydował się ów więzień, w marzeniu widziany.

Kazimierz przypomniał sobie swoich kolegów szkolnych, rodzinę Linowskich, Jadwigę i stryja... ach, tego stryja, który był wcieleniem honoru. Wyciągnął do góry splecione ręce i, po raz drugi w życiu, przysiągł, że zginie, ale nie da się aresztować.

— Człowiek odpowiada za siebie tylko, dopóki jest wolny — szepnął.—A co się z nim może zrobić w więzieniu... dyabli wiedzą!..

O drugiej w nocy zbudził Kazimierza gospodarz, dał mu zimnego mleka, które go

orzeźwiło, parę klajstrowatych bułek na drogę i—około trzeciej—wyjechali w kierunku Grudy.

Świrski uspokoił się nieco, ale czuł przykry smak w ustach i osłabienie. Było mu wszystko jedno: dokąd jedzie i czy zajedzie? Noc była ciemna, ale Świrskiemu zdawało się, że widzi słabe, mlecze światło. Chwilami miał wrażenie, że sanki stoją w miejscu, to znowu, że dojeżdża do Świrków i już spostrzega szare ściany stryjskiego pałacu. Gdy zaś chłop krzyknął: wio, maluśki!.. albo gdy sanki nagle poszły w zatokę, Kazimierz odzyskiwał przytomność i czuł, że serce bije w nim prędko a nieporządnie.

„Ja chyba muszę być niezdrów?..“ — pomyślał. W rzeczywistości był bardzo niezdrów, lecz, jak zwykle w podobnych wypadkach, nie zdawał sobie sprawy.

Po godzinie jazdy chłop stanął.

— Co to?..—zapytał Kazimierz.

— Wólka Szlachecka—odpowiedział gospodarz.—Może panicz wysiądą, to ja podjadę do wsi i zmiarkuję, czy niema strażników.

Kazimierz z trudnością wylazł z sanek, usiadł na jakimś kopcu, zapewne granicznym, i czekał. W jego głowie myśli płynęły mechanicznie, jak woda w strumieniu. Już nie miał żalu do Jadwigi, bo i za co?.. Przecież on nie ożeniłby się z nią, to jasne; więc o cóż chodzi?.. Dlaczego uboga panienska nie miałyby starać się o zamążpójście? A pocałunki?.. Czyliż to jeden z jego kolegów całował panny i nie żenił się, ani gniewał, gdy one starały się wyjść za innych, za dorosłych...

Stan apatii, w jakiej był pogrążony, mógłby nawet wydawać się przyjemnym, gdyby od czasu do czasu nie wybuchala w duszy Kazimierza nagła trwoga. To wiatr silnie dmuchnął, to gałąź zaszeleściła, to może ptak nocny przeleciał, i nagle ogarniała chłopaka ogromna bojaźń. Serce uderzyło gwałtownie, chciał zrywać się, uciekać... Lecz, gdy włożył rękę w kieszeń i dotknął brauninga, uspokajał się.

„Choćby mnie cały pułk otoczył, cóż mi zrobią?..“ — pomyślał.

Chłop wrócił zmieszany.

— Musimy cofnąć się — rzekł—bo w drugiej wsi żołdacy...

Kazimierz znowu wsiadł do sanek, znowu jechali wśród ciemności, znowu ogarniały go dziwaczne marzenia. Zdawało mu się, to — że ktoś siedzi obok niego, to — że stoi za nim i szepce... Przypomniał sobie stryja i... poczuł łyzy pod powiekami... Potem przywidziało mu się, że rozmawia z Jędrzejczakiem. — „Miałem nielada kłopot! — mówił cię — ale jakoś wykaraskałem się...“ A potem zdawało mu się, że słyszy głos Linowskiej, która mówiła: „Pod Twoją obroną...“

— Pod czyją obroną?—zapytał głośno, aż się chłop obejrzał.

Jeszcze dwa razy stawali w drodze, jeszcze dwa razy Świrski wysiadał z sanek, a chłop jechał na zwiady i powracał z wiadomością, że — trzeba cofnąć się, gdyż niedaleko nocują strażnicy, kozacy, albo oddziałek piechoty. W jednym zaś miejscu nawet powiedzieli chłopu, że—stoi armata.



Kazimierz uśmiechnął się; zresztą—było mu wszystko jedno. On chciał przedewszystkiem zasnąć, chciał odpocząć, chociażby w grobie...

Nad ranem gospodarz trochę popasał i znowu pojechał dalej. Lecz, gdy wysunęli się na równinę, dokoła której nie było widać ani kawałka lasu, tylko pojedyncze grusze, albo kępy wierzb, albo krzaki, chłop porwał się za głowę i ryknął płaczem.

— O dla Boga, paniczu — zawołał — wypuście już mnie!.. Przecie ja mam żonę i dzieciśka!..

Nigdy jeszcze Kazimierz nie czuł, jak dziś, potrzeby opieki, a przynajmniej ludzkiego towarzystwa; nigdy jeszcze nie wydawał się samemu sobie tak niemocnym i bezradnym. Ale rozpacz chłopą otrzeźwiła go.

— A jedźcie z Bogiem, mój gospodarzu!..—zawołał. Dał mu pięć rubli i uściśkał na drogę, za co chłop obsypał go błogosławieństwami.

— Bóg wielmożnemu paniczowi stokrotnie wynagrodził!.. — mówił chłop, szybko zawracając konie. W pięć minut już go nie było.

Ranek zaczął się pogodnie i spokojnie. O jakąś wiorstę drogi widać było wieś, gęsto otoczoną drzewami; dym z kominów wesoło polatywał w górę. Świrski przeciągnął się, wypił dobry łyk wódki i pewnym krokiem szedł ku opłotkom. Na prawo ode drogi spostrzegł niewielką, murowaną kuźnię, w której rozlegał się dźwięk młotów. O paręset kroków za kuźnią zaczynały się chaty.

Wtem z za krzaka wysunął się młody chłopak, wołając:

— O, pan już idzie!.. A tam czekają...

Nie powiedział, kto czeka, ale pędem pobiegł do najbliższych chat i wyprzedził Świrskiego, który, zbliżając się do wsi, zauważył kilku mężczyzn na drodze.

„Co to jest?“—pomyślał Kazimierz. Stał, przypatrywał się. A ponieważ miał wzrok doskonały, poznał — Zajęczkowskiego.

— O, to mi się udało!..—rzekł do siebie, widząc, że bandyta i jego dwaj towarzysze idą naprzeciw niemu.

Teraz i Zajęczkowski stanął, a zrobiwszy daszek z ręki, przypatrywał się Kazimierzowi i zawołał:

— Co ten hycel chłopak gada?.. Przecie to nie Wypych.. Jak Boga kocham, toż to naczelnik!..

Podbiegł do Świrskiego z wyciągniętymi rękoma i mówił wzruszony:

— Co pan naczelnik tu robi?.. Chyba nie idzie pan do nas, bo nas ze wszystkich stron obsaczają, jak wilków.. Cudowności, powiadam!..

— Ale co pan tu robi? — odpowiedział Świrski. — Trzeba było od świętej pamięci zmykać do Galicyi!..

Dwaj towarzysze Zajęczkowskiego przypatrywali się Kazimierzowi z widoczną nieufnością.

— Ba, do Galicyi!.. Przecie już trzeci dzień w tamtą stronę maszerujemy, ale nam ciągle wąż w drogę... Psiakrew, jak się rozgniewam!..—dokończył Zajęczkowski, ale nie powiedział: jaki ma być skutek jego gniewu.

— Cóż, pańska partya rozbita — rzekł

Świrski, aby cośkolwiek powiedzieć.—Gdzież Dziewiątka?

— Oho!..—odpowiedział Zajęczkowski—Dostał kulą w szyję... A Kota to nawet zakłuli!..

— A Litwin?..

— Także u lali... Kulka w serce i ani!.. ani!..

— A ten... ten pan Jan, co tak dużo gadał?..

— Dał się głupi złapać i pewnikiem będzie wisiał!.. Oszwabiły nas, panie, te ruskie rewolucjonisty, co?.. Mieli przysłać pomoc, a przysyłają kozaków i strażników, co?..

— Widać nie mają sił—wtrącił Świrski.

— To po co zaczynali?.. Przez nich zmarnowaliśmy kupę ludzi, aż człowiekowi żal i wstyd!.. Żeby już raz cholera wzięła!..

— Oni także giną!..

— Ginać byle kto potrafi!.. Trzeba było wygrać, nie ginać!..

— Kapitanie.. kapitanie.. strażnicy!.. — zawołał jeden z milczących dotychczas towarzyszy Zajęczkowskiego.

Świrski spojrział: istotnie drogą jechało trzech konnych strażników.

— Zmykajta!..—krzyknął Zajęczkowski.—Ja im teraz pokażę!..—Zdjął karabinek, wycełował i wypalił, może na sto pięćdziesiąt kroków. Jeden z jeźdźców pochylił się na szyję koniowi i spadł na ziemię; dwaj inni cofnęli się pędem.

— Umykaj naczelnik!.. — krzyknął Zajęczkowski do Kazimierza. — Nie zawadzać mi tutaj!.. Ja ich!..

Towarzysze Zajęczkowskiego już znikli. Świrski powoli cofnął się między chaty. Widział, że zaczyna się jakaś ciężka awantura, ale jej jeszcze nie rozumiał dokładnie.

Koń trafionego strażnika z początku stał nad swoim panem, następnie z wolna poszedł za innymi. Zajęczkowski począł gonić go w stronę kuźni. Koń przyspieszył kroku; lecz, gdy Zajęczkowski zatrzymał się, i koń stanął, a potem znów uciekał szybciej. W taki sposób gonili się paręset kroków.

Wtem, gdy Zajęczkowski wyminął kuźnię, na drodze, przed nim, ukazała się gromadka kozaków, którzy zaczęli strzelać w kierunku wsi. Zajęczkowski odstrzelił się raz i drugi i zaczął biedz, ale już w stronę kuźni.

Świrski machinalnie odwrócił głowę i poza wsią spostrzegł oddział piechoty, rozsypany w tyralierkę. Na prawo, ode drogi, może w odległości wiorsty znowu ukazała się garść kozaków, a na lewo, het za kuźnią, posuwał się łańcuch piechoty. Teraz Kazimierz zrozumiał, że zarówno on sam, jak i Zajęczkowski, są otoczeni ze wszystkich stron. W dodatku kozacy powtórzyli wystrzały, i kilka kul zasyczało ponad głową Świrskiego i dachami wsi.

Zajęczkowski gdzieś zniknął, natomiast z murowanej kuzienki pędem wybiegł kowal i jego dwaj pomocnicy, bez czapek, z zawięzniętymi rękawami koszul.

Świrski przeskoczył przez płot i chyłkiem, pomiędzy krzakami, biegł na wschód ode wsi; lecz, gdy zbliżył się do granicy, znowu zobaczył oddziałek piechoty, wynurzający się z pomiędzy wierzb.

„No, przecież nie zginę z tym bandytą!“... pomyślał Kazimierz, i ogarnęła go, już nie wiadomo który raz w tych dniach, niewypowiedziana trwoga. Lękał się, że może być schwytany; lękał się, że w więzieniu zdradzi wszystko, o czym było mu wiadomo; lękał się wreszcie, że zobaczy coś strasznego.

Zaczął biedz, potknął się w śniegu i upadł, zerwał się i, zadyszany, prawie nieprzytomny, wpadł do chaty, której gospodyni, siedząc przed ogniem, spokojnie obierała kartofle... To go otrzeźwiło. Głęboko odetchnął i rzekł:

— Matko!.. nie jestem bandyta, tylko podróżny... Ukryjcie mnie przed wojskiem, a dam wam pięćdziesiąt rubli!..

— A paśport pan ma?.. — zapytała powoli baba.

— Mam!.. mam!..

— To niech pan wlezie na górę i weźmie za sobą drabkę.

W sieni stała drabinka, sięgająca do otworu strychowego. Świrski wbiegł po niej i pędem wciągnął ją za sobą. Potem upadł na jakiś łańcuch i, zamknawszy oczy, pędem dysząc, przysłuchiwał się rzadkim wystrzałom. Wystrzały niekiedy milkły, potem odezwało się ich dwa lub trzy, jeden po drugim, czemu znowu odpowiadały salwy: jedna... druga... trzecia!..

„Znajdą mnie, czy nie znajdą?..—myślał. — No, zanimby tu weszli, położyłbym kilku... Ale w takim razie spalą chałupę i zabiją gospodynię?“...

Wypił resztę wódki i—wpadł w jeszcze większe rozdrażnienie. Zdawało mu się, że w mroku, jaki go otaczał, wynurzają się dwa słupy, a na nich poprzeczna belka, pod którą chwieje się ludzka głowa, okryta workiem.

„Stryj nie przeżyłby, gdyby mnie powiesili!.. Pfu!.. być wziętym do niewoli o kilkadziesiąt kroków od Zajęczkowskiego, który się broni, a potem wisieć!“...

I znowu zaczął się lękać... lękać... Nie śmierci, ale schwytania!.. Cóż to za hańba, gdyby do miasta X. powrócił jeńcem?.. Do miasta, gdzie Jędrzejczak umarł, jak męczennik, byle nie zdradzić związku Rycerzy Wolności. I on, Świrski, on, twórca związku, on... w niewoli?..

Tymczasem pojedyncze wystrzały i salwy powtarzały się coraz częściej. W ścianie strychu Kazimierz dostrzegł szparę, więc popełznął tam i oto co zobaczył.

Strzały pojedyncze padały z murowanej kuźni, w której oczywiście zamknął się Zajęczkowski sam jeden, gdyż towarzysze od razu go opuścili. Od strony pola, ode drogi i ode wsi otaczał kuźnię łańcuch tyralierów; zaś między wierzbami, stojącymi nad zamarzłą rzeką, czuwali kozacy. Zajęczkowski absolutnie wymknąć się nie mógł.

Nagle strzały ucichły, a we drzwiach kuźni Świrski zobaczył — brudną płachtę, niby ręcznik.

— Zajęc poddaje się?.. — szepnął Świrski.

Tak widać zrozumieli sytuację oblegający, i ze czterech żołnierzy pobiegło w stronę kuźni. Lecz, gdy zbliżyli się na kilka-



naście kroków, z kuźni zaczęły padać wystrzały. Jeden z żołnierzy zachwiał się, inni schwycili go pod ręce i cofnęli się do drogi. W wojsku rozległ się złowrogi szmer, łańcuch tyralierów poruszył się... Widać żołnierze, rozwścieczeni podstępem Zajączkowskiego, chcieli biedz do ataku; ale powstrzymali ich oficerowie, i plac boju znowu zaległa taka cisza, jakby nikogo nie było.

„A teraz—co?“...—pomyślał Świrski.—Oczekiwanie czegoś niezwykłego tak mu ciążyło, że stracił przytomność. Nie był to sen, ani omdlenie, lecz jakby — zatrzymanie myśli.

Z tego stanu obudził go nowy szmer wojska. Kazimierz przetarł oczy i spojrzął. Daleko na drodze ukazała się gromadka jezdnych, którzy skręcili na prawo, a następnie wjechali na wzgórze, naprzeciw kuzienki. Gdy rozsunęli się, Kazimierz zobaczył—odprzodkowaną armatę.

W tej chwili przy kuźni dmuchnął niebieskawy dymek, i padł strzał karabinowy: jeden, drugi, trzeci... To Zajączkowski dał znać, że widzi armatę.

Chwila ciszy—i potężny, uroczysty huk zatrzęsł chatą, gdzie leżał Świrski, a pocisk armatni wybuchnął o kilkanaście kroków przed kuzienką. Drugi huk—i zleciał kawałek dachu. Trzeci grom—wybił dziurę w ścianie

kuźni, z której znowu odpowiedziano strzałami rewolwerowymi.

Świrski zamknął oczy i usłyszał jeszcze pięć piorunów, od których zdawało się, że podskakuje ziemia. Potem zaległa cisza... a potem... zaszemrało wojsko... Gdy Kazimierz otworzył oczy, zobaczył na miejscu kuzienki kupę gruzów, z pośród których ktoś wydobył czarny przedmiot—niby rękę czy nogę.

„Ten człowiek miał pogrzeb!“... pomyślał Świrski, i sinawe usta złożyły mu się do uśmiechu. „Jeżeli teraz odejdą — marzył dalej—a odejść powinniby, mam do samej Galicyi otwartą drogę i—wspomnienia, jakimi chyba jeszcze nikt się nie pochwalił“...

Istotnie wojsko zaczęło zbierać się w małe kolumny, i armata zjechała ze wzgórza. Nagle Świrski spostrzegł, najdalej o sto kroków od siebie, dwóch oficerów, którzy, rozmawiając z grupą kozaków, wskazywali na jego chatę. W Kazimierzu serce bić przestało.

„Chyba wiedzą, że tu jestem?.. Czyliżby denuncyowała mnie gospodyni?“...

Od grupy oderwało się czterech kozaków. Jeden, olbrzymi, szpakowaty brunet, szedł naprzód, dwaj inni niezgrabnie wlekli się za nim, czwarty, spóźnwszy się nieco, biegł w eleganckich podskokach, kokieterycznie unosząc poły szyneli. Miał on minę młodzieńca, zaufanego w swoją piękność;

z pod płaskiej furażerki, osadzonej na baki, sterczał mu duży pukiel jasnych włosów.

Kozacy doszli do chałupy, zaczęli pukać w okienko i we drzwi.

„Możeby zejść?... — pomyślał Kazimierz.—Przecie mam paszport“...

Czuł, że ręce i nogi kamienieją mu, a w piersiach niema jednej fibry, któraby nie drżała.

„Naprawdę możeby zejść? — myślał.—I kto wie, czy mi się i tym razem nie uda?“...

Nagle wyobraził sobie, że ten elegancki kozak z puklem chwyta go za kark i po śniegu ciągnie do oficerów, niby kawał padliny. Wstrząsnął się całym ciałem; przyłożył brauning do prawego ucha i—lekko nacisnął cyngiel... W jego głowie zahuczały dzwony całego świata, kula ziemską rozleciała się na ogniste kawałki i—zaczął się spokój wieczny...

Tymczasem kozacy nie przyszli bynajmniej aresztować Świrskiego; nie wiedzieli nawet, że jest na strychu. Oficerowie wysłali ich po prowianty, więc, zastawszy drzwi zamknięte, kozacy zaczęli pukać, a gdy nikt im nie otwierał, poszli do innych chałup.

Biedny Kazimierz pośpieszył się i tym razem.

KONIEC.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

## CHŁOPI. LATO.

(Dokończenie)

— Kaj mi tam do ładności! — stanęła w ponsach, pociemniałe oczy buchnęły płomieniami, a wargi zadrgały w przytajonym prześmiechu radości.

— I naprawdę Jagusia nie chce iść za mąż?

— Ani mi się śni, abo mi to źle samej!

— I żaden się wam nie podoba, co? — nabierał coraz więcej śmiałości.

— Żaden, nie, żaden! — trzęsła głową, patrząc w niego rozmarzonymi słodko oczami, nachylił się i zajrzał głęboko w te modre przepaście; modlitwę miała w spojrzeniu, najgłębszą i najśodsza i najdufniejszą, żarliwy krzyk serca, rwący się w czas podniesienia. Dusza się w niej trzepotała, kiej te skry słońca nad polami, kiej ptak, rozśpiewany wysoko nad ziemią.

Cofnął się jakoś dziwnie niespokojnie, przetarł oczy i wstał.

— Muszę już iść do domu!—skinął głową na pożegnanie i poszedł szeroką miedzą ku wsi, czytając kiej niekiej książkę, to błędząc oczami, ale w jakiś czas obejrzał się i przystanął.

Jagusia szła za nim o parę kroków.

— Bo i mnie tędy najbliżiej—tłómaczyła się jakoś spłoszona.

— To pójdźmy razem — mruknął, nie bardzo rad z towarzystwa, wlepił oczy w książkę i, zwolna idąc, czytał se półgłosem.

— O czym to napisane?—spytała lęklwie, zazierając w karty.

— Jak chcecie, to wam trochę poczytam.

Że akuratnie niedaleczko między stało rozłożyste drzewo, to przysiadł w cieniu i zaczął czytać, Jagusia kucnęła naprzeciw i, wsparłszy brodę na pięści, zasłuchała się całą duszą, nie spuszczając z niego oczów.

— Jakże się wam podoba?—rzucił po chwili, unosząc głowę z nad książki.

Szczerwieniła się i, uciekając z oczami, bąknęła wstydliwie:

— Bo ja wiem... To nie o królach historya, co?

Jeno się skrzywił i wziął znowu czytać, ale już wolno, wyraźnie i słowo po słowie: o polach i zbożach czytał, o jakimś dworze, stojącym we brzozowym gaju, jakby o dzie-dzicowym synu, któren do dom wrócił, i o dworskiej panience, co siedziała se z dziećmi na ogrodzie... A wszystko było utrafiłone do wiersza, rychtyg, kieby w tych pobożnych śpiewaniach, jakby je kto wypominał z ambonny, że nieraz chciało się jej westchnąć, przezegnać i zapłakać, tak szło do serca.

Ale strasznie gorąco było w tem zaciszu, kaj siedzieli, kręgiem stała gęsta ściana żyta, przepleciona modrakiem, wyczką i pachnącym powojem, że ani jeden powiew nie przechładzał, a jeno w tej upalnej cichości sypał się niekiedy chrzęst obwisłych kłosów,

czasem wróble zacząwierały wśród gałęzi, bzyknęła przelatująca pszczoła, i dzwonił Jasio wy głos, wezbrany dziwną słodyczą, lecz Jagusia, chociaż wpatrzona była w niego, jakby w ten obraz najślicniejszy, i nie straciła ani jednego słowa, kiwnęła się raz i drugi, bo tak ją rozbierało gorąco i morzył śpić, że ledwie już mogła wytrzymać.

Na szczęście przerwał czytanie i zajrzał jej głęboko w oczy.

— Prawda, jakie śliczne, co?

— Juści, co śliczności... jakbym tego kazania słuchała.

Jaże oczy mu rozbłysły, a na twarz wystąpiły kolory, gdy zaczął rozpowiadać, czytając raz jeszcze te miejsca, kaj było o polach i lasach, ale mu przerwała:

— Przeciek i dziecko wie, co w borach rosą drzewa, w rzekach jest woda i sieją na polach, to po co ta drukować o tem wszyckiem?...

Jasio aż się cofnął ze zdumienia.

— Mnie to się jeno spodobają takie historye o królach, o smokach, albo i o strachach, co to, jak się o nich słuchia, to jaże mrówki człowieka oblażą i jakby zarzewia nasuł do piersi. Jak Rocho nieraz powiedają takie historye, tobym go słuchała dzień i noc. A czy pan Jasio ma o tem książki?

— A któżby czytał takie bajdy!—buchnął wzgardliwie, głęboko zgorszony.



— Bajdy! Hale, przeciek Rocho czytał o tem i z drukowanego.

— Głupstwa wam czytał i same cygaństwa!

— Jakże, toby se ino la cygaństwa umyślali takie cudenia?...

— A tak, wszystko bajki a zmyślenia.

— To nieprawda i o południcach? I o smokach?—pytała coraz żałośniej.

— Nieprawda, mówię wam przecież!—odpowiadał zniecierpliwiony.

— To i o tem też nieprawda, jakto Pan Jezus wędrował ze świętym Piotrem, co?...

Nie zdążył odrzec, bo nagle jakby wyrosła z pod ziemi Kozłowa i, stając przy nich, patrzyła się naśmiechliwymi ślepiami.

— A to pana Jasia szukają po całej wsi—rzekła słodziusko.

— Cóż się tam stało?

— Jaże trzy bryki ziandarów przyjechało na plebanię.

Zerwał się niespokojnie i poleciał prawie w dyrdy.

Jagusia też poszła ku wsi, ale dziwnie czegoś markotna.

— Pewnikiem przerwałam waju pacierze, co?—syknęła Kozłowa, idąc pobok.

— Zaśby ta pacierze! Czytał mi z książki takie historye, ułożone do wiersza.

— Cie... a ja miarkowałam całkiem co drugiego. Organiścina pchnęła me go szukać... lecę w tę stronę, rozglądam się... pusto... tknęło me cosik, bych zajrzeć pod gruszkę... patrząc... siedzą se jakieś turkaweczki... gaworzą... Juści miejsce sposobne... zdala od ludzkich oczów... juści...

— Żeby wam ten paskudny ozór pokręciło—buchnęła, wrywając się naprzód.

— I będzie cie miał kto rozgrzeszyć!—krzyknęła za nią urągliwie.

## IX.

Jagusia zaraz na wstępie pomiarkowała, że na wsi dzieje się cosik ważnego, psy jakoś zajadlej naszczekiwały w obejściach, dzieci kryły się po sadach, wzierając jeno zza drzew i płotów, ludzie już ścigali z pól, chociaż słońce było jeszcze wysoko, gdzieś znów zbierały się rajcujące cicho kobiety, a na wszystkich twarzach widniał srogi niepokój, i wszystkie oczy pełne były lęku i oczekiwań.

— Co się to wyrabia?—spytała Balcerkówny, wyglądającej z za węgła.

— Nie wiem, toć pono wojsko idzie od boru.

— Jezus, Marya! wojsko!—nogi się pod nią ugięły ze strachu.

— A Kłębiak co ino mówił, że kozaki ciągną od Woli—dorzuciła lecąca kajś Pryczkówna.

Jagusia przyśpieszyła kroku, w niemającej już trwodze dopadając chałupy, matka siedziała w proggu z kądzielą, a przy niej parę rozgadanych kobiet.

— Widziałam, jak was, siedzą w ganku, a starsze u proboszcza na pokojach.

— A po wójta posłali Michała organistów.

— Po wójta! Mościewy, to nie prze-

lewki! Ho, ho, wyjdą z tego historye, wyjdą...

— A może jeno przyjechały ścigać podatki.

— Hale, toby jaże w tyła narodu przyjeżdżały, co? Musi być co drugiego.

— Pewnie, ale nic dobrego z tego nie wyjdzie, obaczycie, spomnicie moje słowa.

— To ja wam rzeknę, po co przyjechały—zaczęła Jagustynka, przystępując do nich.

Zbiły się w kupę i, kiej gęsi, powyciągały szyję, nasłuchując z chciwością.

— A to będą was zapisywały do wojska—zaśmiała się skrzekliwie, ale żadna nie zawtórzyła, tylko Dominikowa rzekła z przekąsem:

— Cięgiem się was trzymają psie figle.

— A bo z igły robita widły! Wszystkie dziw zębów nie pogubią ze strachu, a każda-by rada jakiej przygodzie. Wielka mi rzecz ziandary.

Ploszkowa wtoczyła swój spaśny kałdun w opłotki i dalejże rozpowiadać, jakto ją zaraz cosik tknęło, kiej dojrzała bryki, jakto...

— Cicho! Ano Grzela z wójtem leca na plebanię.

Poniesły oczy na drugą stronę stawu, przeprowadzając idących.

— Cie, to i Grzelę wołają.

Ale nie zgadły, bo Grzela puścił brata naprzód, a sam obejrzał bryki, stojące przed plebanią, wypytał furmanów, przyjrzał się żandarmom, siedzącym w ganku, i jakoś mocno zaniepokojony poleciał do Mateusza, zajętego przy Stachowej chałupie, właśnie był siedział okrakiem na zrębie, zacinając łązy la osadzenia krokwi.

— Nie odjechały jeszcze?—pytał, nie przestając rąbać.

— A nie, to jeno bieda, że niewiada, po co przyjechały.

— I w tem się cosik tai niedobrego!—zająkał stary Bylica.

— A może o zebraniu! Naczelnik się wygrażał, a strażniki już się tu i owdzie przewidywały, kto Lipce buntuje—rzekł Mateusz, zesuując się na ziemię.

— Toby rychtyk wypadało, że przyjechały po mnie!—szepnął Grzela, rozglądając się niespokojnie, przybladł i ciężko robił piersiami.

— A mnie się widzi, co prędzejby po Rocha!—zauważył Stacho.

— Prawda, przeciek się już o niego przepytywali! Że mi to nawet w myślach nie postać!—odetchnął z ulgą, lecz, srodze zatroskany o niego, rzekł smutnie:

— Ani chybi, że, jeśli mają kogo wziąć, to tylko Rocha!

— Jakże, możemy go to dać, co? Rodzonego ojca, co?—krzyczał Mateusz.

— Hale, nie sposób się im przeciw, ani mowy o tem...

— Niechby się kaj schował, trza go przestrzedz, juści...—jąkał Bylica.

— A może to co drugiego, może to z wójtem sprawa...—wtrącił nieśmiało Stacho.

— Na wszelki przypadek lecę go prze-

strzedz!—zawołał Grzela i buchnął we zboża, przebierając się ogrodami do Borynów.

Antek siedział w ganku, nakuwając sierpy na kowadelku, i porwał się strwożony, dowiedziawszy się, o co idzie.

— Właśnie, co jeno przyszli. Rocho, a chodźcieno do nas!—krzyknął.

— Co się stało?—pytał stary, wyściubiając głowę przez okno, ale, nim mu rzekli, przyleciał, srodze zaziajany, Michał organistów.

— Wiecie, a to do was, Antoni, wałą żandarmy! Już są nad stawem...

— To po mnie!—jęknął Rocho, zwieszając smutnie głowę.

— Jezus, Marya!—krzyknęła Hanka, stając w proggu, i uderzyła w płacz.

— Cicho! Trza zaradzić jakoś, cicho!—szeptał Antek, tężąc myślą.

— Skrzyknę wieś i nie damy was, Rochu!—srożył się Michał, wyłamując sielną gałąź i groźnie tocząc oczami.

— Nie bajdurz! Rochu, za bróg i w żyta, prędzej ino! Przywarujcie kaj w brózdzie, póki was nie zawołam. A chyba, bych nie nadeszli...

Rocho zakręcił się po izbie, cisnął jakieś papiery Józce, leżącej na łóżku, i zaszeptał:

— Schowaj pod siebie, a nie wydaj!

I jak był, bez czapki a kapoty, rzucił się w sad i przepadł, jak kamień we wodzie, że jeno kajś za brogiem zaruchało się żyto.

— Odejdź, Grzela! Hanka, do swojej roboty! Uciekaj, Michał, i ani mrumru!—rozkażywał Antek, zasiadając do przerwanej roboty, i jął znowu nacinać sierp tak równiuzko i spokojnie, jak przódzi, tylko że co trochę podnosił ostrze pod światło, a strzygł ślepiami na wszystkie strony, gdyż naszczekiwania psów były coraz bliższe, i wnet rozległy się ciężkie stąpania, brzęki pałaszów i rozmowy...

Zatłukło mu serce, i zadygotały ręce, ale ciął równo, akuratnie, raz za razem, nie odrywając oczów, aż dopiero kiej przed nim stanęli.

— Rocho doma?—pytał wójt, wielce zalekniony.

Antek obrzucił spojrzeniem całą kupę i odrzekł wolno:

— Musi być na wsi, bo nie widziałem go od rana.

— Otworzyc!—rozkazał grzmiąco jakiś starszy.

— Przeciek wywart!—odburknął Antek, dźwigając się z ławy.

Urządник wraz z żandarmami wszedł do chałupy, zaś strażnicy rozlecieli się pilnować sadu i obejścia.

Na drodze zebrano się już z pól wsi, przyglądając się w milczeniu, jak przetrząsali dom, kieby kopę siana. Antek musiał im wszystko pokazywać i otwierać, a Hanka siedziała pod oknem z dzieckiem przy piersi.

Juści, co szukali na darmo, ale tak penetrowali wszędy, nie przepuszczając zgoła niczemu, że nawet któryś zajrzał pod łóżka.

— A siedzi tam i właśnie czeka na waju!—mruknęła.

Starszy dojrzał na stole jakieś książeczki, przyciśnięte pasyjką, skoczył do nich, kiej ryś, i jął je pilnie przeglądać.



— Skąd je macie?  
— Musi być, co Rocho je położył, to se i leżą...

— Borynowa niegramotna! — tłumaczył wójt.

— Kto z was umie czytać?

— A żadne, tak nas uczyli we szkole, że tera nikto nie rozbierze nawet na książkę do nabożeństwa! — odpowiedział Antek.

Starszy oddał książeczki drugiemu i ruszył na drugą stronę domu.

— Cóż to, chora? — podeszedł nieco do Józki.

— A juści, już od paru niedziel leży na ospe.

Urządник śpiesznie cofnął się do sieni.

— To w tej izbie mieszkał? — wypytywał wójta.

— I w tej, i kaj mu popadło, zwyczajnie, jak dziad.

Przejrzeli wszystkie kąty, szukając nawet za obrazami; Józka chodziła za nimi rozpalonemi oczami, a tak rozdygotana ze strachu, że, gdy któryś zbliżył się do niej, zaskrzeczała nieprzytomnie:

— Schowałam go pewnie pod siebie, co? Szukajcie!...

A kiedy skończyli, Antek przystąpił do starszego i, kłaniając mu się w pas, zapytał pokornym głosem:

— Dopraszam się, czy to Rocho zrobił jakie złodziejstwo?...

Urządnik zajrzał mu jakoś zblizka w twarz i rzekł z naciskiem:

— A wyda się, że go ukrywasz, to już razem powędrujecie, słyszysz!...

— Dyc słyszę, jeno nie poredzę wymiarować, o co sprawa! — podrapał się fraszobliwie, urzędnik spojrzął ostro i poniósł się na wieś.

Chodzili jeszcze po różnych chałupach, zaglądali tu i owdzie, przepytując kogo się jeno dało, że już słońce zaszło, i drogi zapchały się stadami, pędzonymi z pastwisk, gdy odjechali, nic nie wskórawszy.

Wieś odetchnęła, i naraz przemówili wszyscy, kaźden bowiem rozповідаł, jakto szukali u Kłębów, jak u Grzeli, jak u Mateusza, i kaźden widział najlepiej i najmniej się bojał i najbarzej im dopiekał.

Jaż Antek, kiedy już ostali sami, rzekł cicho do Hanki:

— Sprawa, widzę, taka, co już nie sposób trzymać go w chałupie.

— Jakże, wypędzisz go! taki święty człowiek, taki dobrodziej!

— A żeby to wciórności! — zaklął, nie wiedząc już, co począć, szczęściem, iż pokrótce przyleciał Grzela z Mateuszem, i żeby cosik pewnego uradzić, zamknęli się w stodole, gdyż do chałupy ciągiem ktoś wpadał na wywiady.

Mrok już do cna przysłonił świat, Hanka podoiła krowy, i Pietrek przyjechał z boru, kiej dopiero wyszli; Antek wziął zaraz rychtować brykę, zaś Grzela z Mateuszem, la zamydlenia oczów, poszli szukać Rocha po chałupach.

Dziwowali się temu, boć kaźden byłby przysięgł, jako siedzi schowany kajś u Boryny.

— Zaraz po obiedzie gdziesik się za-

podział i ani słyhu! — rozgłaszali przyjaciele.

— Ma szczęście, jużby se ano w dybkach wędrował!

I w mig się roznieśło, jak chcieli, że Rocha już od południa niema we wsi.

— Przewąchał i zwiął, kaj pieprz rośnie! — pogadywali radzi.

— Niech jeno nie powraca więcej, nic ta po nim! — rzekł stary Płoszka.

— Przeszkadza wama? A może was ukrzywdził, co? — zawarczał Mateusz.

— A mało to narobił matu? Mało to was nabuntował? Jeszczek przez niego cała wieś ucierpi!...

— To go złapcie i wydajcie!...

— Żebyśta mieli rozum, toby go już dawno mieli!...

Sklął go Mateusz i chciał pobić, ledwie ich rozdzielili, więc jeno mu nawytrząchał pięścią, nasobaczył i odszedł, a że już było do cna pociemniało na świecie, to i naród porozchodził się po chałupach.

Na to właśnie czekał Antek, bo, skoro jeno drogi opustoszały i ludzie zasiedli przed wieczernami, a po wsi rozwiały się zapachy smażonej słoniny, skrzyboty łyżek i ciche pogwary przy miskach, przyprowadził Rocha na Józina stronę, nie pozwalając rozniecać ognia.

Stary przegryzł naprędcę coś niecoś, pozbierał, co miał swojego, i jął się żegnać z kobietami. Hanka padła mu do nóg, a Józka buchnęła skomlącym, rzewliwym płaczem.

— Zostańcie z Bogiem, może się jeszcze zobaczymy! — szeptał łzawo, przyciskając je do piersi, a całując po głowinach, kiej ten ociec rodzony, ale, że Antek przynagłał, to, pobłogosławiwszy jeszcze dzieciom i domowi, przeżegnał się i ruszył do przełazu pod bróg.

— Konie zaczekają u Szymka na Podlesiu, a Mateusz was powiezie.

— Muszę jeszcze zajrzeć do kogoś na wsi... Gdzie się spotkamy?

— Przy figurze pod borem, zarno tam pociągniemy!...

— A dobrze, bo z Grzelą mam jeszcze dużo do pomówienia.

I przepadł w mrokach, że nawet kroków nie było słyhać.

Antek zaprzągnął konie, włożył w brykę jakąś ćwiartkę żyta i worek ziemniaków, pogadał cosik długo z Witkiem na stronie i rzekł głośno:

— Witek, zaprowadź konie do Szymka na Podlesie i wracaj! Rozumiesz?

Chłopak jeno błysnął ślepiami, dorwał się koni i ruszył z kopyta tak ostro, jaże Antek za nim krzyknął:

— Wolniej, bo mi, jucho, szkapy zmordujesz!

Tymczasem zaś Rocho przebrał się chyłkiem do Dominikowej, kaj miał jakieś rzeczy, i zamknął się w alkierzu.

Jędrzych pilnował na drodze, Jagusia ciągiem wyzierała w opłotki, a stara, siedząc w izbie, nasłuchiwała niespokojnie.

Wyszło dobre parę pacierzów, nim wyszedł, pogadał jeszcze na stronie z Dominikową i, zarzuciwszy toboł na plecy, chciał iść, ale Jagusia napała się ponieść za nim choćby do boru. Nie sprzeciwiał się temu

i, pożegnawszy starą, ruszyli przez sad na pola.

Szli miedzami zwolna, ostrożnie i w milczeniu.

Noc była widna i sielnie roziskrzona gwiazdami, pośpione ziemie leżały w cichościach, tylko kajś na wsi ujadał pies...

Dosięgali już borów, gdy Rocho przystanął i wziął ją za rękę.

— Jaguś! — szepnął dobrotliwie — posłuchaj mnie uważnie.

Słuchała pilnie, rozdygotana jakimś złem przecuciem.

Prawił, kieby ksiądz na spowiedzi, wypominając jej Antka, wójta i już najbarzej Jasia! Prosił i zaklinał na wszystkie świętości, by się opamiętała i zaczęła żyć inaczej!

Odwróciła zesromaną twarz, oblały ją palące ognie wstydu, a serce spięło się męką, ale, kiej spomniał Jasia, podniosła hardo głowę.

— A cóż to złego z nim wyrabiam, co?

Jął wywodzić po swojemu, a przedstawiać łagodnie, na jakie to pokusy się dają i do jakiego to grzechu i zgorzenia może ich zły doprowadzić!...

Nie słuchała, wzdychając jeno i niesiąc się myślami do Jasia, że już same wargi lśniące i nabrane krwią szeptały słodko, gorąco i zapamiętałe:

— Jasiu! Jasiu! — A rozjarzone oczy rwały się gdziesik, kieby ptaki, radośnie rozśpiewane, i krążyły nad jego głową najmilszą!...

— Dycbym poszła za nim we wszystkich świat! — wyrwało się jej bezwolnie, że Rocho zadrżał, spojrzął w jej oczy, szeroko otwarte, i zamilkł.

Na skraju boru pod krzyżem zabielały jakby kapoty.

— Kto tam? — wstrzymał się niespokojnie.

— Jesteśma! Swoi!

— Nogi mi się już płaczą, że odpocznię nieco — rzekł, rozsiadając między niemi. Jagusia zwała toboł i przysiadła nieco z boku, pod krzyżem, w głębokim cieniu brzoź.

— Żebyście ino nie mieli jakich nowych kłopotów!...

— I... gorsze, że ano idziecie już od nas! — powiedział Antek.

— Być może, iż kiedyś powrócę, być może!...

— Psiekrwie, żeby człowieka gonić, jak tego psa zepsutego! — buchnął Mateusz.

— I za co, mój Boże, za co? — jęknął Grzela.

— Że chcę prawdy i sprawiedliwości la narodu! — ozwał się uroczyście.

— Kaźdemu jest na świecie źle, ale już najgorzej sprawiedliwemu.

— Nie martw się, Grzela, przemieni się jeszcze na dobre, przemieni!...

— Tak se i miarkuję, bo ciężkoby pomysleć, że wszystkie zabiegi nadarmo.

— Czekaj tatka latka, jak kobyłę wilcy zjedzą! — westchnął Antek, wpatrzony w cienie, kaj mu bielała Jagusina gębusia.

— Powiadam wam, że, kto chwasty wrywa i posiewa dobrem ziarnem, ten zbierał będzie w czas żniwny!



— A jak nie obrodzi? Przeciek i to się przygodzi, nie?

— Tak, ale każdy sieje z wiarą, że w dwójnasób mu zaplonuje.

— Juści, chciałby się to kto mozolić nadarmo!

Zadumali się głęboko nad temi rzeczami.

Wiater powiał, zaszeleściły nad nimi brzozy, zaszumił głucho bór, i polami poszedł chrzęstliwy szmer zbóż. Księżyc wypłynął i leciał po niebie, jakby ulicą białych chmur, postozonych rzędami, drzewa rzuciły cienie, przesiane światłem, lelki cichym, krętym lotem przewijały się nad ich głowami, a jakiś smutek przejmował serca.

Jagusia zapłakała cichuśko, niewiadomo la czego.

— Co ci to, co? — pytał dobrotliwie Rocho, gładząc ją po głowie.

— A bo to wiem, markotno mi jakoś...

Ale i wszystkim było markotno, i jakaś żalność rozpierała dusze, że siedzieli osowiali, powędłemi oczami ogarniając Rocha, którego się im teraz widział, kiej ten święty Pański. Siedział pod krzyżem, z którego ciężko obwisły Chrystus jakby błogosławił okrwawionymi rękami jego siwej, umęczonej głowie, on zaś jął mówić głosem pełnym dufności:

— A o mnie się nie trwóźcie, kruszyłam tylko, jedno źdźbło z bujnego pola, wezmą mię i zagubią, to i cóż, kiedy takich zostanie jeszcze wiele, i każdego tak samo gotów dać żywot dla sprawy... A przyjdzie pora, że jawi się ich tysiące, przyjdą z miast, przyjdą z chałup, przyjdą ze dworów i tym ciągiem nieprzerwanym położą głowy swoje, dadzą krew swoją i padną jeden za drugim, stożąc się, jak te kamienie, aż póki się z nich nie wyniesie ów święty, utęskniony kościół... A mówię wam, że stanie i trwał będzie po wiek wieków, i już go żadna zła moc nie przewycięży, bo wyrosnie z ochwiarnej krwi i miłowania...

I opowiadał szeroko, jak to ni jedna kropka krwi, ni łza jedna, ni żaden wysiłek nie przepada nadarmo, jak to ciągiem, kieby te zboża na ziemi nawożonej, rodzą się nowe brońce, nowe siły, nowe ochfiary, aż nadejdzie ów dzień święty, dzień zmartwychwstania, dzień prawdy i sprawiedliwości la całego narodu...

Mówił gorąco, a chwilami tak górnio, że nie sposób było wyrozumieć wszystkiego, ale przejął ich święty ogień, serca sprężyły się uniesieniem i taką wiarą, mocą i pragnieniem, jaże Antek zawołał:

— Jezu... prowadźcie jeno... a choćby na śmierć pódę, pódę...

— Wszystkie pójdziemy, a co stanie na zawadzie — stratujem!

— A kto się nam sprzeciwi, kto nas przemoże? Niech jeno spróbuje...

Wybuchnęli jeden po drugim, a coraz zapamiętałej, aż musiał ich przyciszać i, przysunawszy się jeszcze bliżej, zaczął nauczać, jaki to będzie ów dzień upragniony i co im trzeba robić, aby go przyspieszyć...

Mówił tak ważkie i zgoła niespodziane rzeczy, że słuchali z zapartym tchem, z trwożą i radością zarazem, przyjmując każde jego słowo z dreszczem wiary serdecznej, jakoby tę komunię przenajświętszą... Niebo im

bowiem otwierał, raje pokazywał, że dusze im pokłękaly w zachwyceniu, oczy widziały cudności niewypowiedziane, a serca się pasły janielskim, przesłodkiem śpiewaniem nadziei...

— We waszej to mocy, aby się tak stało! — zakończył, niemało już utrudzony. Księżyc schował się za chmurę, poszarzało niebo, i zmętniały pola, bór cosik zagadał z cicha, i trwożnie zachrzęściły zboża, i kajś od wsi dalekich niesły się psie naszczekiwanie, oni zaś siedzieli niemi, dziwnie cisi, jeszcze zasłuchani, a jakby opici jego słowami i tak jakoś uroczyści, jakby po wielkiej przysiędze.

— Czas mi już odejść! — rzekł, powstając, i brał każdego w ramiona, ścisnął i całował na pożegnanie. Dziw się nie popłakali z żalu, on zaś przyklęknął, odmówił krótką modlitwę i padł na twarz i zapłakał, obejmując ziemię rękami, kieby tę mać, żegnaną na zawsze.

Jagusia jaże się zaniesła szlochaniem, chłopcy ukradkiem wycierali oczy.

I zaraz się rozeszli.

Do wsi wracał tylko Antek z Jagusią, tamci zaś przepadli kajś pod borem.

— A nie mówże przed nikim o tem, coś słyszała! — rzekł po długiej chwili.

— Czy to ja latam z nowinami po chałupach! — warknęła gniewnie.

— A już niech Bóg broni, żeby się wójt dowiedział — upominał surowo.

Nie odrzekła, przyspieszając jeno kroku, ale nie dał się wyprzedzić, trzymał się pobok, zazierając raz poraz w jej twarz zapłakaną i gniewną...

Księżyc znowu zaświecił i wisiał prosto nad drogą, że szli jakoby tą srebrzystą miedzą, obrzeżoną pokrętnymi cieniami drzew, naraz zadrgało mu serce, tęsknica wyciągnęła nienasycone ramiona, przysunął się ździebko, bliżej, tak blisko, że jeno sięgnąć ręką i przyciągnąć ją do siebie, ale nie sięgnął, zbrakło mu bowiem śmiałości, i powstrzymywało jej zawzięte, wzgardliwe milczenie, więc jeno rzekł z przekąsem:

— Tak lecisz, jakbyś chciała uciec przede mną...

— A bo prawda! Obaczy nas kto i gotowe nowe plotki.

— Albo ci śpieszno do kogo drugiego!

— Juści, a bo mi to nie wolno! Abom to nie wdowa!

— Widzę, co niedarmo powiadają, że kierujesz się na księżą gospodynię...

Porwała się, jak wichur, i lży potrzęsy się jej z oczów rzęsystemi, palącemi strugami.

## X.

Już stronami, na piaskach i lżejszych gruntach wychodzono ze sierpem, już nawet kaj niekaj po wyżniach błyskały kosy, ale we wsiach, gdzie były mocniejsze ziemie, dopiero imano się przygotowań, i żniwa leda dzień miały się rozpoczynać.

Więc i w Lipcach, jakoś w parę dni po ucieczce Rocha, jęto się ostro sposobić do żniwa, rychtowano na gwałt drabiny i moczono we stawie wozy co barzej rozeschnięte, oprzątno stodoły, że już stały wywarne na przestrzał, gdzie w cieniach sadów wy-

kręcano powrósla, zaś prawie pod każdą chałupą brząkały rozklepywane kosy, kobiety zwijały się przy pieczeniu chlebów i sposobieniu zapasów, a z tego wszystkiego zrobiło się tylachna skrzętu i rwetesów, że wieś wyglądała jakby przed jakimś wielkim świętem.

A że przytem zjechało się z drugich wsi sporo narodu, to na drogach i pod młynem wrzało, kieby na jarmarku, głównie bowiem ściągali ze zbożem do mielenia, ale, jakby na utrapienie, tak mało było wody, że robił tylko jeden ganek, a i to zaledwie się ruchając, czekali jednak cierpliwie swojej kolei, boć każdego chciał zemleć jeszcze na żniwa.

Niemało też cisnęło się do młynarzewego domu kupować mąkę, kasze przeróżne, a nawet i po chleb gotowy.

Młynarz leżał chory, ale snąc nic się nie działo bez jego przyzwolenia, gdyż krzyknął do żony, siedzącej na dworze, pod wywartem oknem.

— A Rzepeckim nie dawaj ani za grosz, prowadzali swoje krowy do księżego byka, to niechże im proboszcz zaborguje i co innego.

I nie pomogły żadne prośby ni skamłania, nadarmo też wstawiała się za biedniejszymi, zaciął się i żadnemu, którego ino wodził krowę na plebanie, nie pozwolił zborgować ani półkwarty mąki.

— Spodobał się im księży byk, to niech go sobie doją! — wykrzykiwał.

Młynarzowa, też jakoś kwękająca, splekana i z obwiązaną twarzą, wzruszała ramionami, ale, jak mogła, ukradkiem zborgowała niejednemu.

Nadeszła Kłębowa, prosząc o pół ćwiartki jaglanej kaszy.

— Płacicie zaraz, to bierzcie, ale na bóg nie dam ani ziarnka.

Zafrasowała się wielce, bo juści, że przysła bez pieniędzy.

— Tomek z nim trzyma za jedno, to niechaj uprosi o kaszę.

Obraziła się i rzekła wyzywająco:

— Juści, co trzyma z księdzem i trzymał będzie, ale tutaj już więcej jego noga nie postoi.

— Mała szkoda, krótki żal! Sprubójcie mleć gdzieindziej.

Odeszła wielce skłopotana, bo w domu nie było już ani grosza, lecz, natknawszy się na kowalową, siedzącą pod zawartą kuźnią, rozżaliła się przed nią i zapłakała na młynarza.

Ale kowalowa ozwała się z prześmiechem:

— To wam jeno rzeknę, co już niedługie to jego panowanie.

— Hale, a któż to da radę takiemu bogaczowi, kto?

— Jak mu wiatrak postawią pod bokiem, to mu i radę dadzą.

Kłębowa jaże oczy wytrzeszczyła ze zdumienia.

— A mój wiatrak postawi. Co ino poszedł z Mateuszem do boru, wybierać drzewo, na Podlesiu będą stawiać kole figury.

— Cie... Michał stawia wiatrak, śmierci-bym się prędzej spodziała, no, no. Ale do-



brze tak temu zdzierusowi, niech mu kałdun spadnie.

Tak jej ulżyło, że śpieszniej szła ku domowi, ale, dojrawszy Hanke, pierając pod chałupą, wstąpiła podzielić się tą niespodzianą nowiną.

Antek majdrował cosik kole woza i, posłyszawszy rozmowę, rzekł:

— Prawdę wam powiedziała Magda, kował już kupił od dziedzica dwadzieścia morgów na Podlesiu, zaraz przy figurze i tam wystawi wiatrak! Młynarz się wścieknie ze złości, ale niech mu rura zmięknie! Tak się już wszystkim dał we znaki, że nikto go nie pożałuje.

— Nie wiecie to niczego o Rochu?

— Nic a nic—odwrócił się od niej jakoś śpiesznie.

— To dziwne, trzeci dzień i niewiada, co się z nim wyrabia.

— Przeciek nieraz już tak bywało, że poszedł kajś, a potem znowu się zjawił.

— Któż to od was idzie do Częstochowy?—zagadnęła Hanka.

— A idzie moja Jewka z Macusiem. Latoś mało wiała się ze wsi wybiera.

— I ja pójdę, właśnie przepieram na drogę co lżejsze szmaty.

— Ale pono z drugich wsi to sporo się szykuje.

— Sposobną porę se wybrały, na największą robotę—mruknął Antek, ale żonie się nie przeciwiał, wiedząc oddawna, na jaką to intencję się ochwiarowała.

Zaczęły se rozpowiadać różności, gdy wpadła Jagustynka.

— Wiecie — wrzeszczała — a to może przed godziną przyszedł z wojska Jasiak!

— Tereski chłop! A dyc powiadała, co wraca dopiero na kopania.

— Co inom go widziała, galancie koło niego i okrutnie stęskniony do swoich.

— Dobry był chłop, ale zawzięty. Tereska doma?

— Rwie len u proboszcza i jeszcze nie wie, co ją w domu czeka.

— Znowu zakotłuje się w Lipcach, przeciek mu zarno powiedzą.

Antek słuchał uważnie, gdyż mocno go zajęła nowina, lecz się nie odzywał, zaś Hanka z Kłębową, szczerze ubolewając nad Tereską, jęły przewidywać najgorsze la niej rzeczy, aż im przerwała Jagustynka:

— Psu na budę taka sprawiedliwość! Hale, pójdzie se taki ciołek na całe roki we świat, kobietę ostawi samą, kiej kołek, a potem, jak się niebodze co przygodzi, to gotów ją choćby zakatrupić! A wszystkie też bij zabij na nią! Kajże ta sprawiedliwość! Chłop to se może używać, jak na psiem weselu, i nikto mu za to nie rzeknie nawet marnego słowa! Do cna głupie urządzenie na świecie! Jakże, to kobieta nie żywy człowiek, to z drewna wystrugana, czy co? Ale, kiej już musi odpowiadać, to niechże i gach zarówno płaci, przeciek pospólnie grzeszyli. Czemuż to jemu tylko uciecha, a la niej samo płkanie, co?

— Mościewy, tak już postanowione od wiek wieka, to i ostanie!—szepnęła Kłębowa.

— Ostanie, żeby się naród marnował,

a zły cieszył, ale ja tobym postanowiła inaczej: wzion któren cudzą kobietę, to niechże se ją ostawi na zawdy, a nie zechce, bo mu już nowa lepiej zasmakowała, kijem ścierwę i do kreminatu.

Antek roześmiał się z jej zapalczywości, skoczyła ku niemu z wraskiem.

— La was to ino warte śmiechu, co? Zbóje zapowietrzona, każda wam najmilejsza, póki jej nie dostanieta! A potem jeszcze się przekpiwają!

— Wydzieracie się, jak sroka na pluchę!—rzucił niechętnie.

Poleciała na wieś i przysłała dopiero nad wieczorem, ale srodze sflakana.

— Cóż się to waju przygodziło?—spytała niespokojnie Hanka.

— A co, napiłam się człowieczego bólu, i jaże mnie zamgliło—rozplakała się i jęła mówić przez łzy i szlochania—wiecie, a to Kozłowa wzięła Jaśka pod swoją opiekę i już mu wszystko wyśpiewała.

— Nie ta, to drugaby mu pedziała, takie rzeczy się nie zagubią.

— Mówię wam, że cosik straszego wzbiera w ich chałupie! Poleciałam do nich, nie było nikogo. Zaglądam teraz, siedzą oboje i płaczą, na stole porozkładane podarunki, jakie jej przyniósł. Jezu, jaże mróz mnie przejął, jakbym zajrzała do grobu. Nie mówią do się, jeno płaczą. Mateuszowa matka rozpowiedziała mi, jak to było, aże mi włosy powstały na głowie.

— Nie wiecie, wspominał Mateusza?—zagadnęła niespokojnie Antek.

— Pomstuje na niego, że niech Bóg bronil! Jasiak mu tego nie przepuści, nie!

— Nie bójcie się, Mateusz go skamlał o łaskę nie będzie—odrzucił gniewnie i, nie słuchając więcej, poleciał na Podlesie przestrzecz przyjaciela.

Nalazł go dopiero u Szymków, siedział z Nastusią pod ścianą i cosik z cicha se redzili, wywołał go zaraz i, kiej odeszli spory kawał drogi, opowiedział.

Mateusz aż się zachłysnął i zaczął kląć.

— Ażeby to siarczyste pioruny spaliły taką nowinę!

Wracali do wsi, Mateusz się krzywił jakoś boleśnie i ciężko wzdychał.

— Widzę, co ci markotno i żal—wtrącił ostrożnie Antek.

— Zaśbym ta żałował, już mi kością w gardle stanęła. Co inszego mnie trapi.

Antek się zdumiał, ale nijakoś było się rozpytywać.

— Czasuby nie chwaciło, żeby mi każdej żałować! Wpadła mi w pazury, to i wzionem, każdyby zrobił to samo! Nie bój się, użyłem, jak pies w studni, bo, com się musiał nasłuchać beków i wyrzekań, to starczyłoby la dziesięciu. Uciekałem, to kieby cień szła za mną. Niechże i Jasiak się nią nacieszy. Nie kochanice mi w głowie, a jeno całkiem co drugiego.

— Pewnie, że poraby ci się żenić.

— Właśnie i Nastka mówiła mi to samo.

— Dzieuch we wsi, jak maku, nietrudno wybrać.

— Już mam z dawien dawna cosik upatrzonogo—wyrwało mu się bezwolnie.

— To me proś w dziewosłęby i sprawiaj wesele, choćby zaraz po żniwach.

Nie poszło mu to w smak, bo skrzywił się i zagadał znowu o Jaśku, a wywiedziawszy się wszystkiego, jął rozpowiadać o Szymkowej gospodarce, wyznając przytem niby to niechcący, że Jędrzych mówił Nastusi pod sekretem, jako Dominikowa ma podać do sądu o grunt Jagusi po Macieju.

— Ociec zapisali, to jej nikto nie zapiera, juści, że samej ziemi nie oddam, ale święcie zapłacę, co warta! Kłótnica, chce się jej procesów!

— Prawda to, że Jagusia zapis oddała Hance?—pytał ostrożnie.

— Cóż z tego, kiej nie odpisała się u rejenta.

Mateusz jakoś poweselał i, nie mogąc się już powstrzymać, zatęczał w rozmowie raz poraz o Jagusie, sielnie ją sobie chwalać.

Antek, pomiarkowawszy, o co mu idzie, rzekł szydliwie.

— Słyszałeś, co to znowu o niej wygadują?

— Baby zawdy radośnie łatki jej przypinały.

— Za Jasiem organistów lata pono, kiej szuka—dodał z rozmysłem.

— Widziałeś to?—rozczerwienił się z gniewu.

— Za prześpiegi za nią nie chodzę, bo me ni parzy, ni ziębi, ale są, które widują co dnia, jak się schodzi w boru z Jasiem, to po miedzach...

— Sprac jedną i drugą, toby wnet przestały plotkować.

— Sprobuj, może się wystraszą i przestaną!—mówił zwolna, zatęczała nim nagła, strasznie szarpiąca zazdrość o Jagusie, a już te myśle, że Mateusz może się z nią ożenić, kąsały go, kieby rozwścieklone psy.

Nie odpowiadał na jego zaczepne i często przykre słowa, bych się jeno nie wydać ze swoją męką, ale na rozstaniu nie porodził się już wstrzymać i rzekł ze złym prześmiechem:

— A któren się z nią ożeni, sporo szwagrów miał będzie...

Rozeszli się dosyć oziębłe.

Mateusz, odszedłszy parę kroków, roześmiał się cicho i pomyślał:

— Musi go trzymać zdaleka, to się na nią źli a pyskuje. A niech ta se lata za Jasiem, taki dzieciuch. Barzej ją tam ciągnie ksiądz, niżli chłopak.

Rozmyślał pobłaźliwie, bo, wywiedziawszy się od Antka co do tego zapisu po Macieju, już stanowczo umyślił się z nią ożenić. Zwolnił kroku i rozliczał se w myślach, po ile to trzaby mu spłacać Jędrzycha i Szymka, bych samemu ostać na gospodarce, na całych dwudziestu morgach.

— Stara przykra, juści, ale przeciek nie będzie wiekowała.

Spomniały mu się Jagusine sprawki, to go ździebko rozfrasowało.

— Co było, to nie jest, a zachce się jej nowych figlów, to z niej rychło wytrzęsę.

W opłotkach przed chałupą czekała na niego matka.



— Jasiek wrócił—szepnęła zatrwożona— już mu o tem powiedzieli.

— To i lepiej, nie będzie potrzeba się ocyganiać.

— Tereska przylatywała już parę razy, grozi, że się utopi... że nie...

— Pewnie, co gotowa to zrobić, pewnie—szepnął wystraszony i tak się tem srodze zamartwił, że, zasiadłszy w progu do kolacyi, nie mógł jeść, a jeno nasłuchiwał od Jaśkowego sadu, że to siedzieli tylko przez międzę. Przejmował go coraz większy niepokój, odsunął miskę i, kurząc papierosa za papierosem, nadarmo barował się z dygotem trwogi, nadarmo klął siebie i wszystkie kobiety i nadarmo chciał całą sprawę obrócić w przekpinki, bo strach o Tereskę rozrastał się w nim coraz barzej i dręczył już nie do wytrzymania. Już parę razy się podnosił, aby iść kajś na wieś, między ludzi, ale ostawał, wyczekując niewiada na co.

Noc się już zrobiła, gdy naraz posłyszał jakieś kroki, a nim rozeznał, z której strony nadchodzi, już Tereska wisiała mu na szyi.

— Ratusz, Mateusz! Jezu, tak czekałam na cię, tak wyglądałam.

Usadził ją pobok, lecz cisnęła mu się do piersi, kiej dzieciątko, i przez łzy, lejące się ciurkiem, przez mękę i rozpacz szepnęła:

— Powiedziały mi o wszystkim! Śmiercibym się była prędzej spodziała, niżli jego powrotu. Byłam u księżego Inu... przylatuje któraś i powiada... dziw trupem nie padłam... szłam, jak na śmierć... nie było cię doma... poszłam cię szukać... nie było cię we wsi... kołowałam z godzinę, ale musiałam iść... wchodzi do chałupy... a on stoi na środku, blade, kiej ściana... skoczył do mnie z pięściami... o prawdę pyta... o prawdę...

Mateusz jaże się zatrząsł i obcierał z twarzy zimny, lodowaty pot.

— Wyznałam się przed nim... na nic jużby się zdały cygaństwa... Topora chycił na mnie... myślałam, że już koniec, i pierwsza mu rzekłam: Zabij! ulży nam obojgu! Ale me nie tknął nawet palcem! Jeno popatrzył we mnie, przysiadł pod oknem i zapłakał!... Jezu miłościwy, żeby me chociaż sprzął, skopał, sponiewierał, lżejby mi było, lżej, a on siedzi i płacze! I cóż ja teraz pocznę, nie-szczęśna, co? kaj się podzieję! Ratusz me, bo się rzucę do studni, albo se co złego zrobię, ratusz!—wrzasnęła, padając mu do nóg.

— Cóż ja ci poredzę, sieroto, co?—jąkał bezradnie.

Zerwała się nagle z dzikim warkotem gniewnego szaleństwa.

— To po coś me brał? po coś me stumaniał? po coś me przywiódł do grzechu?

— Cała wieś tu się zleci, cicho!

Przypadła mu znowu do piersi, objęła sobą i, pokrywając pocałunkami, zaskamlała całą mocą strachu, miłowania i rozpacz:

— O mój jedyny, o mój wybrany z ty-siąca, zabij me, a nie odpędzaj od siebie! Miłujesz to me, co? Miłujesz? Dyc me utul ten ostatni razik, dyc me weź, ogarnij sobą i nie daj na mękę, nie daj płakania, nie daj zatracenia! Jedyne cię mam na wszystkim świecie, jedynego... Ino me ostaw przy so-

bie, a służyła ci będę za tego psa wiernego, za tę ostatnią dziewczkę!

Jęczała rzewliwemi słowy, rwanemi ze samego dna udręczonej duszy.

A Mateusz wiał się jakby w kleszczach i, jak mógł, wykręcał się od stanowczej odpowiedzi, zbywając ją całunkami a przygłaskaniem, i przytakując wszystkiemu, co jeno chciała, rozglądał się trwożniej i niecierpliwiej, gdyż mu się uwidziało, że Jasiek siedzi na przelazie.

Ale w jakiejś minucie Tereska, przejrząwszy prawdę do dna, odepchnęła go od siebie i zakrzyczała, bijąc słowami, kieby biczem:

— Cyganisz, jak pies! Zawdys me ocygania! Już me teraz nie zwiedziesz! Strach ci Jaśkowego kija, to się wijesz, kiej ta przydeptana glista! A ja mu zawierzyłam, jak komu najlepszemu! Mój Boże, mój Boże! A Jasiek taki pocziwy, nawiózł mi podarunków, nigdy mi nie powiedział marnego słowa, i ja mu tak odpłaciłam! I takiemu przeniwiercy zawierzyłam, takiemu zbójowi! takiemu psul! Idź se za Jagusią!—zawrzyszczła, przyskakując do niego z pięściami—idź i niech was pożeni hycel, pasujeta do siebie, lakudra i złodziej!

Padła na ziemię, zanosząc się straszny, obłąkanym płaczem.

Mateusz stał nad nią, nie wiedząc, co począć, matka chlipała kajś pod ścianą, gdy wyszedł ze sadu Jasiek i, przystąpiwszy do żony, jął jej szeptać tkliwe, przesiąknięte łzami, a pełne dobrości słowa:

— Chodź do dom, chodź, sieroto. Nie bój się, nie ukrzywdzę cię, masz ty już dosyć za swoje, chodź, żono...

Wziął ją na ręce i, przeniósłszy na przelaz, krzyknął do Mateusza:

— Pókim żyw, to ci jej krzywdy nie daruję, tak mi dopomóż, Panie Boże!

Mateusz milczał, dusił go wstyd i zalewał mu serce taką gorzkością i taką dojmującą udręką, że poniół się do karczmy i pił przez całą noc.

Cała historia migiem się roznieśła po wsi, a ku niemałemu podziwowi z wielkiem też uważaniem rozpowiadali o Jaśkowem postąpieniu.

— Ze świecą nie najdzie takiego drugiego—mówiły rozrzewnione kobiety, srodze przytem powstając na Tereskę, ale Jagustynka zapalczywie broniła.

— Tereska niewinowata!—wrzeszczała po różnych opłotkach, kaj jeno posłyszała, że bierą ją na ozory — smarkul to był jeszcze, kiej Jaśka wzieni do wojska, ostała sama jedna, nawet przez dziecka, to i nie dziwota, co bez tyła roków zacniło się jej za chłopem. Żadnaby nie przetrzymała takiego postu. A Mateusz zwietrzył, kiej pies, i dalejże bakę świecić, cudeńka prawić, na muzykę prowadzić, jaże i głupią zdurzył.

— Że to niema sądu na takich zwozdzieli—westchnęła któraś.

— Łeb mu już lenieje, a za kobietami jeszcze ciągnie.

— Kawalerska sierota, to kajże się pożywi, jak nie z cudzego—kpili parobcy.

— Mateusz też niewinowaty, nie wiecie to, że, jak suczka nie da, to i piesek nie

weźmie!—zaśmiał się Stacho Płoszka i dziwgo za to nie pobili.

Ale wnet przestali o tem deliberować, gdyż żniwa były za pasem, dnie szły wybrane, suche i upalne, po wzgórkach żyta jakby się prosiły o kosy, a jęczmiona już dochodziły, to co dnia ktosik wychodził penetrować pola, zaś bogatsze już się oglądali za najemnikiem.

Zaś na pierwszego ruszył organista, wywiódłszy do żniwa kilkanaście kobiet, stanęła do sierpa nawet sama organiścina, wzięły żać i córki, a stary miał nad wszystkim czuwające oko. Jasio przyleciał dopiero po mszy i niedługo się cieszył żniwami, bo, skoro jeno podniosła się przypołudniowa spieka, wypędziła go matka, żeby se głowy nie przepalił na słońcu.

— Poszuka se cienia u Jagusi, w to mu graj—warknęła za nim Kozłowa.

W domu jednak było mu gorąco, nudnie, i muchy tak cięty zapamiętały, że wybrał się na wieś i, przechodząc koło Kłębów, dosłyszał jakieś przyduszone jęki, rozchodzące się z wywarłej na rozcież chałupy.

Jagata leżała w sieniach pod progiem, w izbie było pusto, cały bowiem dom poszedł do żniwa.

Przeniósł ją do izby, położył na łóżko, napoił i tak cucił, jaże przysła nieco do siebie i otworzyła załzawione oczy.

— Dyc już kończę, paniczku—uśmiechnęła się, kiej rozbudzone dziecko.

Chciał zaraz bieżyć po księdza, przytrzymała go za sutannę.

— Panienska mi dzisia rzekła: „Gotuj się na jutro, duszo umęczona!“ Mam czas jeszcze, paniczku! Jutro... dzięki ci, Boże miłosierny, dzięki!—jąkała coraz słabiej, prześmiejch zatlił się na jej wargach, złożyła ręce i, zapatrzona kajś, w jakoweś dalekości, zapadła jakby w głęboką duszną modlitwę, a Jasio, rozumiejąc, co już zaczęło się konanie, polecał zwoływać Kłębów.

Zajrzał do niej dopiero po południu, leżała w łóżku całkiem przytomna, skrzynka stała przy niej na ławie, wyjmowała z niej stygnącemi rękami wszystko, co se była nagotowała na tę porę ostatnią: czystą płachtę pod siebie i świeże obleczenie na pościelce, wodę święconą, całkiem jeszczek dobre kropidło i spory kawał gromnicy i obrazek Częstochowskiej do ręki i nową koszulę, suty wełniak, czepek, bujnie ururkowany nad czołem, wraz z chustą do zawiązania i zupełnie nowe trzewiki, wszycko śmiertelne wiano, użebiane przez całe życie, rozłożyła koło siebie, ciesząc się każdą rzeczą i chwając przed kobietami, zaś czepek nawet przymierzyła i, przejrząwszy się w lusterku, szepnęła wielce szczęśliwa:

— Będzie galancie, na sielną gospodynię patrzę.

Przykazała, bych ją w te skarby przystroili jutro, zaraz od samego raua.

Juści, co nikto się jej nie sprzeciwił, chodzili kole niej na palcach, umilając jej te ostatnie chwile, jak jeno poredzili.

Jasio przesiedział przy niej do zmierzchu, czytając w głos modlitwy, powtarzała za nim, zasypiając co chwila z jakimś leciuskim pośmiechem.



A gdy zasiadali do wieczerzy, zapragnęła jajecznicę, juści że jeno dziobnęła raz i drugi, odsuwając jadło odrazu, i już cały wieczór leżała cichuśko, dopiero kiedy zabierali się do spania, przywołała Tomka.

— Nie bój się, nie będę ci zawadzała długo, nie— wyrzekła lekliwie.

Na drugi dzień zrana przybrali ją, jak przykazała, położyli ją na Kłębowej łóżko, a na jej własnej pościeli, sama pilnowała, żeby wszystko było, jak się patrzy, sama strzepywała, drząc, chudą pierzynę, sama nalała wody święconej na talerz i położyła na niem kropidło, a spenetrowawszy, że już jest, jak być powinno w taką godzinę u gospodarzy, poprosiła o księdza.

Przyszedł z Panem Jezusem, przygotował ją na tę drogę ostatnią i zalecił Jasiowi pozostać do końca, że to jemu samemu gdziesik się śpieszyło.

Jasio zasiadł przy niej i czytał se pocichu z brewiarza, Kłębowie też ostali w domu, a wkrótce przyleciała Jagusia, przywarowała w kącie cichuśko, niby trusia. W izbie jeno muchy brzęczały, gdyż ludzie snuli się bez głosu, jak cienie, trwożnie jeno spozierając na Jagatę... Leżała z różańcem w ręku, jeszcze całkiem przytomnie, zegnając się z każdym, kto ino zajrzał do chałupy, zaś poniekórym dzieciom, cisnącym się w sieniach i pod oknem, rozdawała po parę groszy.

— Naści, a zmów paciorek za Jagatę! — szeptała z lubością.

A potem już całe godziny nie odzywała się do nikogo.

I leżała se godnie, po gospodarsku, na łóżku i pod obrazami, jak se była roiła przez całe życie. Leżała, pełna cichej dumy i nieopowiedzianej szczęśliwości, radosne łyzy siwiły się w jej oczach. Poruchiwała cosik wargami, błogo uśmiechnięta i zapatrzona przez okno w niebo głębokie, w pola nieobjęte, gdzie już kaj niekaj błyskały z brzękiem kosy i kładły się żrate ciężkie żyta, w jakies dale, widne jeno jej duszy zamierającej.

Ale w jakiejś minucie, gdy dzień miał się już ku schyłkowi, a izbę zalały czerwone zorze zachodu, wstrząsnęła się gwałtownie, usiadła i, wyciągnawszy ręce, zawołała mocnym, a jakoby cudzym głosem:

— Pora już na mnie, pora.

I padła wznak.

W izbie zrobiło się straszno, buchnęły płacze, poprzykłękali kole łóżka, Jasio jął czytać modlitwę za konających, Kłębowa zapaliła gromnicę, umierająca powtarzała za Jasiem, ale coraz słabiej, coraz ciszej, coraz bełkotliwiej, oczy jej gasły, niby ten dzień letni, znojami utrudzony, twarz grążyła się w tuman wiecznego zmierzchu, wypuściła gromnicę i skonała.

I pomarła se ta dziadówka, kieby najpierwsza we wsi, a Jambroż, któren akuratnie zdążył na sam koniec, zawarł jej oczy, sam Jasio zmówił za nią gorący pacierz, i cała wieś przychodziła się modlić przy jej zwłokach, popłakać a zazdrośnie się dziwować szczęśliwej śmierci i lekkim skoniem.

Tylko Jasia, skoro zajrzał w jej martwe oczy i w tę stężoną na grudę twarz, poradloną pazurami śmierci, zatrząsł taki strach, że

uciekł do domu, rzucił się na łóżko, wcisnął głowę w poduszki i zapłakał.

Poleciała wnet za nim Jagusia, i chociaż sama była pełna przerażenia i żalości, jęła go uspokajać i obcierać mu twarz zapłakaną. Przytulił się do niej, kieby do matki, kładł rozbolałą głowę na jej piersiach, obejmował ją za szyję i, jaże się zanosząc szlochaniem, skarżył się rzewliwie:

— Boże mój, jakie to straszne, jakie to okropne!..

Weszła na to organiścina, zobaczyła i srogi gniew nią zatargał.

— Co się tu dzieje! — postąpiła na środek izby i zasyczała, ledwie się już hamując — widzisz ją, jaka mi czuła opiekunka, szkoda tylko, że Jasio już niańki nie potrzebuje i sam sobie poradzi nos obetrzeć!

Jagusia podniosła na nią zapłakane oczy i, dygocąc w zaleknieniu, jęła rozpowiadać o śmierci starej, Jasio też rzucił się skwapnie, tłómacząc matce, co mu się to przygodziło, ale organiścina, znać już dobrze przódzi podbechtana przez kumy, wywarła na niego gębę:

— Głupis, jak cie! Nie odzywaj się lepiej, byś i ty czego nie oberwał!

Skoczyła naraz do drzwi, wywarła je na roście i zawrzeszczała do Jagusi:

— A ty się wynoś, i żeby tutaj nie postać więcej twoja noga, bo cię wyszczuję!

— Cóżem to winowata, co! — jąkała, zgoła już nieprzytomna ze wstydu i boleści.

— Poszła precz i w tej minucie, bo każe psy pospuszczać! Już ja nie będę płakała przez ciebie, jak Hanka albo wójtowa! Ja cię nauczę jamorów, mało jedna, już ty mnie popamiętasz, tłumoku! — darła się na cały głos.

Jagusia buchnęła płaczem, wypadła przed dom i pognęła w cały świat.

A Jasio stanął, jakby rażony piorunem.

## XI.

Ale nawet nie przeczuwała biedula, iż spadnie na nią cosik jeszcze gorsze i bardziej niespodziane.

Zaraz bowiem po pochówku Jagaty i wyjściu kompanii do Częstochowy, z którą powędrował i Jasio, przyniewolony do tego przez matkę, gdy już ludzie na dobre wzięli się do żniwa, gruchnęła wieść zgoła niepodobna do wiary o aresztowaniu wójta za brak pieniędzy w kasie gminnej.

Nie sposób było zrazu uwierzyć, i chociaż prawie z każdą godziną ktosik przylatywał z nową i coraz gorszą przykładką, jeszcze nie brali tego zbyt do serca.

— Próżniaki, wymyślą se co niebądź i roztrząsają la zabawy! — mówili poważniejsi.

Ale uwierzono, gdy kowal wrócił z miasta i wszystko co do słowa potwierdził, a Jan-kiel w południe powiedział do całej gromady:

— Wszystko prawda! W kasie brakuje pięć tysięcy, zabierają mu za to całą gospodarę, a jak będzie jeszcze mało, Lipce muszą za niego dopłacić!

Wzburzyło to wszystkich, że niech Bóg broni, jakże, bieda wszędy jaże piszczy, do garnka niema co włożyć, niejedni się

zapożyczył, aby jeno dociągnąć do żniw, a tu przyjdzie płacić za złodzieja! Tego było już za wiele na ludzką cierpliwość, to i nie dziwota, że cała wieś jakby się wściekła ze złości, klątwy, pogrozy i wyzwiska posypały się kieby kamienie.

— A żebyś, ścierwo, skapiał, jak ten pies!

— Nie trzymałem z nim spółki, to i płacił za niego nie będę.

— Ani ja! Balował się, używał, a ty cierp za cudze! — pogadywali tak sfrasowani, jaże niejednemu płakać się chciało z markotności.

— Dawno miałem oko na niego i mówiłem, do czego to idzie, przekładałem, nie słuchaliście i tera mata ball — dogadywał z rozmysłem stary Płoszka, pomagała mu Płoszkowa, rozpowiadając, kto jeno chciał słuchać.

— Wiecie, Antek już wyrachował, co na wspomnienie pana wójta zapłacim po trzy ruble z morgi, ale za takiego przyjaciela nie żal i po dziesięć...

I tak te wiadomości przygnębiły ludzi, że z południa mało wiele poszło do roboty, a jeno radzili, użalając się pospólnie, że pełno było w opłotkach, przed chałupami, a zwłaszcza nad stawem, napróżno się przytem głowiąc, kaj zadział tylachna pieniędzy.

— Musieli go podebrać, nie sposób, aby tyła sam jeden zmarnował!

— Pisarzowi zawierzał, a wiadomo, jakie to ziółko!

— Szkoda człowieka, nama juści zrobił krzywdę, ale sobie najgorszą! — mówili poniekórtzy co stateczniejsi, a na to wraziła między nich tłuste brzuchko Płoszkowa i dalejże niby to żalująco wyrzekać i trzeć suche ślepie:

— A mnie żal wójtowej! Biedna kobieta, panią se była i nos zadzierała, a teraz co! Chałupę wezmą, grunt przedadzą i na komorne pójsć pójdzie chudzina, na wyrobek! I żeby se chociaż użyła!

— A mało to jeszcze wysmakowała dobrego! — wrzasnęła Kozłowa, wtórując gorąco jeno na drugi sposób — używały se ścierwy, kieby jakie dziedzice. Co dnia jadły mięso! Wójtowa pół garczka cukru kładła se do kawy, a czysty harak pili szklankami! Widziałam, jak zwoził z miasta całe półkoszki przeróżnych przysmaków. A z czegoż to im brzuchy spęczniały, przecież nie z postu!

Słuchali rozważnie, choć w końcu ple-tła już trzy po trzy, ale dopiero organiścina trafiła wszystkim do serca, nalazła się na wsi niby to przypadkiem i, posłuchawszy rozmów, rzekła od niechcenia:

— Jakto, to nie wiecie, na co wójt wydał tyle pieniędzy?

Jęli się cisnąć dokoła i pytać, niewoląc ją do odpowiedzi.

— Stracił na Jagusię, wiadomo.

Tego się nie spodziewano, więc jeno w zdumieniu spozierali po sobie.

— Już cała parafia mówi o tem od wiosny! Ja wam nie rozpowiem, ale spytajcie się kogo bądź, choćby z Modlicy, a dowiecie się całej prawdy!



I odeszła, jakby nie chcąc się zdradzić, ale baby jej nie puściły, przyparły kajś do płota, tak molestowały, że zaczęła im rozpowiadać na niby pod sekretem: jakie to wójt przywoził dla Jagusi piesztronki ze szczerego złota, a jakie chusty jedwabne, a jakie płótna cieniutkie, a jakie loralę, a ile to jej nadawał gotowych pieniędzy! Juści co cyganiła, jaże się kurzyło, ale święcie uwierzyły, tylko jedna Jagustynka ozwała się gniewnie:

— Klituś, bajduś, módl się za nami. Widziała to pani?

— A widziałam i mogę przysięgać nawet w kościele, że dla niej ukradł, dla niej, a może go nawet namówiła! Ho, ho, gotowa ona na wszystko, nic dla niej niema świętego, bez wstydu już i sumienia! Jak ta rozciekana suka, lata po wsi, a roznosi jeno zgorzenie i nieszczęście! Nawet mojego Jasia zwieść chciała, chłopiec niewinny, jak dziecko, to uciekł od niej i wszystko mi opowiedział! Czy to nie zgroza, księdzu nawet nie daje spokoju! — gadała prędko, ledwie już dysząc od złości.

Jakby iskra padła na prochy, tak buchnęły naraz wszystkie dawne urazy do Jagusi, wszystkie zazdroście i gniewy i nieważność; jęły wypominać, co ino która miała na wąpiach, że podniósł się niewypowiedziany wrzask. Krzyczały jedna przez drugą i coraz zapamiętały.

— Że to taką świętą ziemię nosi!

— A przez kogo pomarł Maciej? Wspomnijcie jeno sobie!

— Całej wsi przyjdzie pokutować za taką zapowietrzoną!

— I nawet księdza chciała przywieść do grzechu! Jezu, bądź nam miłościwy!

— A wiela to już było przez nią pijatyk, swarów a obrazy Boskiej!

— Zakała całej wsi! Już przez nią Lipce wytykają palcami!

— Morowe powietrze nie gorsze, niżli taka zaraza.

— Póki taka jest we wsi, potąd ciągle będzie grzech, rozpusta i zło, bo dzisiaj wójt ukradł dla niej, a jutro zrobi to samo drugą!

— Kijami zatłuc i ścierwo rzucić psom!

— Wygnać ją ze wsi, wypędzić na bory i lasy, kiej tę zarazę!

— Wypędzić! Jedyna rada! Wypędzić! — zawrzeszczały rozszalone, gotowe już na wszystko i z namowy organiściny pociągnęły do wójtowej.

Wyszła do nich, zapuchnięta od płaczu, a tak zbiedzona, tak nieszczęśliwa i rozlamantowana, że wzięły ją ścisnąć, płacząc nad nią i użalając się ze wszystkiego serca.

Dopiero po jakimś czasie organiścina wspomniła jej o Jagusi.

— Święta prawda! Ona wszystkiemu winowata, ona — zalamantowała rozpacznie — Ten tłuś sobaczy, ta piekielnica! Ażebyś zdechła pod płotem za moją krzywdę, ażebyś robaki roztoczyły za mój wstyd, za moje nieszczęście! — padła kajś na ławę, tarzając się w niewypowiedzianej męce i szlochaniu.

Napłakały się nad nią dowoli, nabiedzły i rozeszły się do domów, bo słońce kłoniło się już ku zachodowi. Ostała tylko

organiścina i, zamknawszy się z nią, cosik ważnego uradziły, gdyż jeszcze przed zmierzchem poleciały na wieś, po chałupach, rozpoczynając jakąś cichą i tajną robotę.

Przystały do nich Płoszki, przyniewoliły jeszcze niektórych i poszli razem do proboszcza, wysłuchał wszystkiego, ale rozłożył ręce i zawołał:

— Nie mieszam się do niczego, róbcie co chcecie, ja nie wiem o niczym i jutro zrana jadę do Żarnowa na cały dzień!

Wieczór uczynił się wielce swarliwy, pełen narad, sprzeczek i tajemniczych szeptów, a gdy kokoty zapiały na północ, wszyscy zmówieni zeszli się do karczmy i, ugaszczani przez organistów, radzili późno w noc.

A wraz ze świtanem roznieśli się po chałupach, że postanowili wypędzić ze wsi Jagusię.

Mało kto stawał w jej obronie, bo każdego zakrzyczeli, tylko jeden Mateusz, nie uląkwszy się nikogo, kłął wszystkich w oczy i pomstował na całą wieś, że, już rozwścieklony do ostatka, poleciał szukać ratunku u Antka.

— Wiesz o Jagusi? — błąd był, kiej trup, i cały dygotał.

— A wiem, prawo za niemi! — rzekł krótko, myjąc się pod studnią.

— Żeby ich mór z takim prawem! To robota organistów! Jakże, dopuścim do takiej niesprawiedliwości! Cóż to komu zawniła? A o co ją winię, to nieprawda, czyste cygaństwo! Jezu, żeby się ważyli wyganiać człowieka, jak tego wściekłego psa. Nie sposób, żeby to miało być!

— Sprzeciwisz się to całej gromadzie?

— Rzekłeś, jakbyś z niemi trzymał! — zawarczał z groźnym wyrzutem.

— Z nikim nie trzymam, ale i tyła mi do niej, co do tego kamienia.

— Ratu, Antek, poradź co niebądź. Laboga, już mi się we łbie mącił! pomiar-kuj ino, coż ona pocnie, kaj się podzieje? A psiekrwie, zbójce, wilki jedne. Siekierę chyba chyćę i będę rąbał, a nie dopuszczę, niedopuszczę!

— Nic ci nie pomogę. Postanowili, to coż znaczy jeden sprzeciw, nic.

— Masz do niej złość! — zawrzeszczał niespodzianie.

— Mam złość czy nie, nic komu do tego — powiedział surowo i, wsparty o studnię, zapatrzył się kajś daleko. Bolesnym kłębem zwiły się w nim jeno przytające, a wiecznie czujne miłowania i zazdroście, że chwiał się w sobie z pojęciem, niby drzewo, targane przez wichurę.

Obejrzał się naraz, Mateusza już nie było, a wieś wydała mu się jakaś obca i dziwnie przykra i strasznie rozwrzeszczana.

Prawda, co i ten dzień pamiętny także był jakiś niezwykajny. Słońce wlekło się blade i jakby obrzękłe, duszno było na świecie i strasznie gorąco, niebo wisiało nisko, zawalone paskudnymi chmurzyskami, wiatr zrywał się co chwila i zamiatał, a nad drogami podnosiły się kłęby kurzawy, miało się na burzę, kajś nad borami jakby się ły-skało.

Zaś między ludźmi już się srożyła siel-na zawierucha, latali po wsi, kieby posza-

leli, kłótnie wrzały po wszystkich chałupach, jakieś baby pobiły się nad stawem, psy ujadły bezustannie, prawie nikt nie wyszedł do roboty, bydło, nie wypędzone na paszę, ryczało po oborach, nawet mszy tego dnia ksiądz nie odprawił i wyjechał równo ze świtem, zamęt podnosił się coraz większy, i niespokojność rosła z minuty na minutę.

Antek, dojrawszy, że w organistowych oplotkach zbiera się coraz więcej narodu, wziął kosę na ramię i śpiesznie poszedł w pole, pod las.

Przeszkadzał mu wiatr, płacząc zboże i bijąc piaskiem w oczy, ale wparł się w zagon i jął siec, spokojnie nasłuchując zarazem dalekich gwarów.

— Może to już — przemknęło mu naraz przez głowę, serce zatłukło, kieby młotem, gniew nim zatargał i rozprężył grzbiet, już miał rzucić kosę i lecieć na ratunek, ale opamiętał się jeszcze w porę.

— Kto zawniła, niech weźmie karę. A niechta, a niechta.

Żyta z chrzęstem kłoniły mu się do nóg i biły w niego, niby rozkolebane wody, wia-ter rozwiewał mu włosy i suszył twarz spotniałą z męki, oczy prawie nic nie widziały, jakby już wszystek był tam, przy Jagusi, że tylko twarde, przyuczone ręce same wodziły kosę, kładąc pokos za pokosem.

Wiatr przyniósł od wsi jakiś długi, przeciągły krzyk.

Rzucił kosę i przysiadł pod żytnią ścianą, jakby się wparł w ziemię, jakby się jej czepił całą mocą, zaś cały się jej ujął, jakby w żelazne pazury, i zdzierzył, i nie dał się, chociaż oczy latały nad wsią, niby oszalone ptaki, choć serce skwierczało z trwogi, choć trząsał się i dygotał z niespokojem.

— Wszystko musi iść po swojemu, wszystko. Trza orać, by siać, trza siać, by zbierać, a co jeno przeszkadza, trza wyplenić, kiej zły chwast — mówił w nim jakiś surowy, prawieczny głos, jakby tej ziemi i tych ludzkich siedlisk.

Buntował się jeszcze, ale już słuchał coraz pokorniej.

— Juści, że każdy ma prawo bronić się przed wilkami, każdy.

Chyciły go jakieś ostatnie żałości i myśli, kiej lute, kąśliwe wichry, owiały go mrocznym tumanem, ponosząc z miejsca.

Porwał się na nogi, naostrzył kosę oseką, przeżegnał się, splunął w garście i jął się do roboty, waląc pokos za pokosem z taką zapamiętałością, jaże świstało płytkie ostrze kosy i pojękiwały ściany żyta.

A tymczasem na wsi nastał straszny czas sądu i kary, że już i nie opowiedzieć, co się tam wyrabiało. Jakoby ćur ogarnął Lipce, a ludzie zgoła się powściekali, bo, co jeno było rozważniejsze, pozamykało się w chałupach lub uciekło na pola, zaś reszta, pozbierana nad stawem w gromady i jakby opita złością, wrzała coraz zapalczywiej, jurząc się nawzajem krzykami, że już każdego wydzierał, każdego pomstował, każdego się srożył wraz, czyniąc przeraźliwy warkot, podobien dalekim i groźnym grzmotom.

I w jakiejś minucie cała wieś ruszyła do Dominikowej, kieby ten wezbrany, szumiący potok, wiedła organiścina z wójtową,



a za niemi przepychało się z rykiem całe rozjuszony stado.

Wdarli się do chałupy, kiej burza, jaże zadygotały ściany, Dominikowa zastąpiła drogę, to ją stratowali, Jędrzych skoczył bronić, i w oczymgnienie zrobili z nim to samo, wreszcie Mateusz chciał ich powstrzymać przed komorą i chociaż prał drągiem, chociaż bronił całą mocą, ale nie wyszło i Zdrowaś, już leżał kajś pod ścianą z rozbitym łbem i nieprzytomny.

Jagusia była zaparta w alkierzu, a kiej wyrwali drzwi, stała przytulona do ściany i nie broniła się, nie wydała nawet głosu, blada była, kiej trup, a w oczach, szeroko rozwartych, gorzało ponure płomień grozy i śmierci.

Sto rąk wyciągnęło się po nią, sto rąk głodnymi, chciwymi pazurami chyliło ją ze wszystkich stron, wyrwało, niby kierz, płytko wrośnięty w ziemię, i powlekło w opłotki.

— Związać ją, wyrwie się jeszcze i ucieknie—rozrządziła wójtowa.

Na drodze stał już gotowy wóz, nałożony świńskim nawozem po wręby desek i zaprzężony we dwie czarne krowy, rzucili ją na gnój związaną, niby barana, i ruszyli wśród piekielnego zamętu, urągliwe wyzwiska, śmiechy i przekleństwa posypały się na nią, kiej grad, po stokroć zabijający.

Ale przed kościołem cały pochód przystanął.

— Trza ją zewlec do naga i pod kruchtą wysiec różgami!—krzyknęła Kozłowa.

— Zawdy takie bili pod kościołem! Do pierwszej krwi, bierza ją!—wrzeszczały.

Na szczęście brama smętara była zawarta, zaś we furtce stał Jambroź z proboszczowską strzelbą w ręku i, skoro się wstrzymali, ryknął z całej piersi:

— Kto się poważy wejść na kościelne, zastrzelę, jak mi Bóg miły. Ubiję, jak psa—groził i tak jakoś strasznie patrzył, gotując broń, jakby do strzału, że, poniechawszy zamiaru, ruszyli dalej, na topolową.

Zaczęli nawet pośpieszać, gdyż burza mogła wybuchnąć leda chwila, niebo posepniało coraz barzej, wiater bił w topole, jaże się pokładały, kurzawa zrywała się z pod nóg, zasypując oczy, i stronami hurkotały grzmoty.

— Poganiaj, Pietrek, prędzej—przynagli, rozglądając się niespokojnie po niebie, przycichli jakoś, szli beładnie bokami drogi, bo środkiem był srogi piasek, że tylko niekiedy co tam któraś zawziętsza, dopadłszy wozu, ulżyła se, pokrzykując zajadle:

— Ty świniu! ty tłumoku! A do sołdatów, łajdusie zapowietrzony.

— Używałaś, to nażrej się teraz wstydu, posmakuj zgryzoty!—darły się nad nią.

Pietrek, parobek Borynów, którego powoził, bo żaden drugi nie chciał, szedł przy wozie, smagał krowy, a skoro jeno upatrzył porę, szeptał do niej litośnie:

— Już niedaleczko... pomsty za taką krzywdę... ścierpcie ino...

Zaś Jagusia w postronkach, na gnoju, zbita do krwi, w porwanem odzieniu, poharbiona na wieki, skrzywdzona ponad człowiecze wyrozumienie i nieszczęsna ponad wszystko, leżała, jakby już nie słysząc, nie czując, co się dzieje dokoła, tylko żywe ły

nieustanną strugą ciekły po jej twarzy posiniaczonej, a niekiedy wzniesła się pierś, niby w tym krzyku skamieniałym.

— Prędzej, Pietrek! prędzej—wołali coraz częściej, rosła w nich bowiem niecierpliwość, jakby opamiętanie, że już prawie w dyrdy dosięgli granicznych kopców pod samym lasem.

Podnieśli deski woza i wraz z gnojem, jak to ścierwo obmierzłe, rzucili, jaże ziemia pod nią jęknęła, padła wznak i nawet się nie poruszyła.

Dopadła jej wójtowa i, kopnąwszy nogą, zawrzeszczała:

— A wrócisz do wsi, to cię zaszczujemy psami!—podniosła jakąś grudę czy kamień i grzmotnęła w nią z całej siły — za krzywdę moich dzieci!

— Za wstyd całej wsi!—biła ją druga.

— Byś szczała na wieki!

— By cię święta ziemia wyrzuciła!

— Byś zdechła z głodu i pragnienia!

Biły w nią głosy, grudy ziemi, kamienie i przygarście piachu, a ona leżała, kiej kłoda, zapatrzona jeno w rozkolebane nad sobą drzewa.

Spochnurniało nagle na świecie, zaczął padać deszcz gruby i rześisty.

Pietrek z wozem cosik się zamarudził, że, już nie czekając na niego, wracali kupami, a jakoś dziwnie cicho, ale gdzieś w połowie drogi spofkali Dominikową, szła okrwawiona, w potarganej odzieży, zaszlochana i z trudem macając kijem drogę, a gdy pomiarkowała, kto ją wymija, wybuchnęła straszynym głosem:

— Ażeby was mór! Ażeby was zaraza! Ażeby was ogień i woda nie szczędziły!

Każden jeno głowę wtulił w ramiona i uciekał zestrachany.

A ona wielkimi krokami pobiegła na ratunek Jagusi.

Ale nazajutrz wszystko wróciło do dawnego, i co jeno w Lipcach żyło i mogło się ruchać, poszło w pola, do zniwa.

Dnie znowu szły upalne, znojne i wielce już pracowite, bo, jak jeno sięgnął okiem, wszędy mrowili się ludzie, błyskały kosy i sierpy, czerwieniały przyodziewy, wznosiły się stogi, stały kopy i mendle, ciągnęły do stodoł pękate wozy, rozlegały się piesneczki, wesołe śmiechy, przekrzyki, i wrzało, kieby w tym rojnym, pracowitym ulu.

Na świecie uczyniło się wielkie, doroczne święto, wyczekiwane z utęsknieniem a uroczyście obchodzone i po wieków odprawiać się mające.

KONIEC.

**Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wniesienie opłaty na rok przyszły.**

## Od Redakcyi.

Dzisiejszy, gwiazdkowy numer *Tygodnika Ilustrowanego* wypełniły całkowicie dokończenia obu powieści: „Dzieci“ Bolesława Prusa i „Chłopi“ Władysława St. Reymonta, sceny o silnem napięciu dramatycznym i barwnej rodzajowości; z Nowym Rokiem rozpoczynamy druk najnowszego utworu Józefa Weysenhoffa, p. t. „Unia“.

W dniu tym, który, jak Polska sze-roka i długa, gromadzi sercem blizkich przy stole wigilijnym dla przełamania się tradycyjnym opłatkiem, zasyłamy naszym współpracownikom, przyjaciołom i czytelnikom, serdeczne życzenia lepszej doli i wytrwania w usilnej pracy dla dobra wspólnego.

## Fotografia dzisiejsza.

Z powodu wystawy ks. Kirchnera, otwartej w Warszawie w d. 23 b. m.

Jakież to już dawne czasy, kiedy, siedząc długo minuty przed aparatem Daguerra, otrzymywało się w rezultacie blade, nikłe, jakby zamglone, bleknące po niedługim czasie wizerunki.

Dziś sztuka fotograficzna, doprowadzona do najwyższej doskonałości, odgrywa rolę niezmiernie ważną nie tylko w życiu codziennem, turystyce, dziennikarstwie, ale i w nauce i sztuce.

Niema już takiego chyba zakątka Europy, i nie tylko Europy, którego ciszy nie przerywałby od czasu do czasu, a nieraz i bardzo często, dyskretny trzask migawki fotograficznej. Dziś kodak jest w podróży równie niezbędnym sprzętem, jak waliza i pugilares; dziś tysiące amatorów, przebiegając kulę ziemską w różnych kierunkach, dostarczają, a przynajmniej winni dostarczać, rzeczowego materiału geografom, folklorystom, historykom, przyrodnikom i t. p.

Nie dość na tem. Fotografia wydarła już niejedną tajemnicę naturze, niejedną rozwiązała sfinksową zagadkę. Dość wspomnieć owe doniosłe usługi, jakie oddało cudowne działanie ultra-fioletowych promieni nauce astronomii, dość rzucić okiem na jedno z owch nad wyraz interesujących wydawnictw zagranicznych, np. berlińskie „Natur-Urkunden“ Jerzego E. F. Schulza lub lipskie „Lebensbilder aus der Tierwelt“ H. Meerwartha, gdzie życie natury, *in anima vili* chwytane na czulej płytce fotograficznej, takie przedziwne, nadspodziewane daje efekty.

Ale nie miejsce tu rozwodzić się nad tysiącnie-mi zastosowaniami fotografii w badaniach umiemych, ani też nad takimi czarodziejstwami techniki, jak zdjęcie w ruchu (kinematograficzne) i na odległość.

Chodzi nam obecnie o rzecz inną, mianowicie o stosunek fotografii do sztuki.

Czy fotografia jest tylko rzemiosłem, sprawnością techniczną, czy też może nosić i piętna pewnego wyboru, syntezy podmiotowej, słowem, arcyzmu?

Na to pytanie daje nam wymowną odpowiedź urządzona w lokalu Warszawskiej Szkoły Fotograficznej (Wierzbowa, 8) przez jej adeptów i wytrwałego kierownika, ks. Kirchnera, wystawa fotograficzna.

Wielka ilość portretów, od największych, naturalnej wielkości, do miniaturowych, z niezmierną dokładnością wykonanych, piękne krajobrazy, dające wprost złudzenie rzeczywistości, arcy-ciekawe sceny rodzajowe i typy—oto, co (obok innych wystawców) przedstawiła nam Szkoła, jako wynik swej kilkuletniej, nie tylko gorliwej, ale i umiłowanej pracy.

Oczywiście, techniczna dokładność i sprawność aparatów, dochodzących obecnie do wysokiego stopnia udoskonalenia, jest tu pierwiastkiem rozstrzygającym.

Ale nie jedynym.

I tu wchodzi w grę subiektywne działanie artysty. Bo nie dość pocisnąć migawkę, wywołać kliszę i sko-



piować odbitkę. Sam bowiem już wybór obiektu fotograficznego wymaga umiejętności i smaku: więc wdzięczny, a nie pozbawiony nastroju motyw krajobrazowy, odpowiedni, a ożywiający stafaż, tło perspektywiczne, pierwsze i dalsze plany, a potem—cała gama efektów świetlnych; więc umiejętność podpatrzenia i schwywania pewnego najbardziej charakterystycznego, artystycznie dostojnego momentu z życia, momentu, którego treść tłumaczy się jasno, który sam w sobie jest tego życia syntezą; więc na koniec najwłaściwsze, najbardziej odpowiadające charakterowi danej osoby upozowanie, tło,

rozkład plam światła i cienia—nie są to wszystko zniona czynności artysty, nie zaś rzemieślnika?

Nie dość na tem. Teraz bowiem następuje druga część pracy, równie ważna: wykończenie fotografii. Przedewszystkiem więc wybór odpowiedniego papieru, o przeróżnej połyskliwości i tonach, a nawet barwach (papiery pigmentowe), a potem—subtelna, wymagająca wielkiego smaku i wykintu praca retuszu, podmalowywania, nadawania obrazowi np. wszelkich pozorów akwaforty lub akwatinty, by wydobyć zeń efekty tonów ciepłych, delikatnych, mile wpadających w oko, nie

zacierając przytem ni jednego rysu, nie roniąc nic z ogólnego charakteru danej osoby czy pejzażu.

Artysta-fotograf, mając przed sobą martwą, niemą odbitkę, postępuje z nią tak, jak artysta dramatyczny z tekstem kreacji, wlewając w nią życie, wypełniając ją ciałem i krwią, tętniącą w żyłach.

Zapewne, nie są to najwyższe regiony twórczości indywidualnej, ale, jako sztuka pomocnicza, fotografia dawno już wzbija się nad niziny zwykłego rękodzielnictwa.

N A D E S Ł A N E.

**NADZWYCZAJNE PREMIUM**

**Tygodnika Ilustrowanego**

Dla uprzywilejowania najszerszym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędných pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę

**12 tomów cennych i zajmujących**

powieści, nowel, poezji i dramatów tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich.

Jakoż oznaczamy cenę tę na RUBLI 2, czyli za ledwie **po złotówce za duży tom**, zawierający od 200—400 str. ścisłego druku.

Na premium nadzwyczajne przeznaczaliśmy książki następujące:

- K. Laskowski: „Melodye“, poezye.
- T. Jaroszyński: „Miasto“, powieść współczesna.
- J. Słowacki: „Zawisza Czarny“, dramat.
- A. Gruszecki: „Zwycięzcy“, powieść współczesna.
- A. Krechowiecki: „Mrok“, powieść historyczna.
- M. Gorkij: „Dzieci słońca“, dramat.
- T. J. Choński: „Różyczki“, powieść z dziejów poznańskiego
- K. Gliński: „Boruta“, powieść historyczna.
- F. Brodowski: „Chwile“, opowiadania, nastroje, nowele.
- Konar: „Panny“, powieść współczesna.
- Z. Sarnecki: „Szkłana góra“, baśń sceniczna.
- F. Morzycka: „Powrotne fale“, nowele.

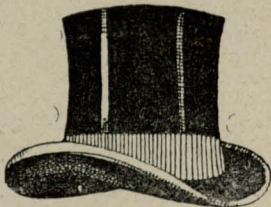
Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę. (Przesyłka 12 tomów rub. 1).

Uzyskaliśmy też dla prenumeratorów Tygodnika znaczne zniżenie ceny wspaniałego, pomnikowego wydawnictwa:

**MALARSTWO POLSKIE W REPRODUKCYCH BARWNYCH**  
S. KULIKOWSKIEGO,

a mianowicie: zamiast 9 rubli za 6 zeszytów, prenumeratory nasi płacić będą TYLKO RUBLI 6, z przesyłką rubli 7 kop. 50.

Wydawnictwo to powinno się znaleźć w każdym domu polskim.



**BIELIZNĘ MĘSKĄ**

białą i kolorową z c. k. nadw. fabr.

V. Suppaucic, poleca

**ZDZISŁAW ZDANOWICZ**

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA 1. 3.

**SKORYNA i SKA** FABRYKA MASZYN  
I KAMIENI MŁYNSKICH  
BUDOWA MŁYNÓW  
WARSZAWA-PRAGA WSKAZUJE ARTYKUŁY MŁYNSKIE  
LĘZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.



**Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.**

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia  
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

**Czytamy w N-rze 327**

**„Kuryera Polskiego”.**

Odpowiadając na liczne pytania naszych czytelników, jakie istnieją środki do pielęgnowania jamy ustnej i zębów, z przyjemnością zaznaczyć możemy, iż szczególnie polecenia godnym ku temu środkiem jest „Tymental”, który przygotowuje się w postaci eliksiru, a który przy stałym używaniu daje rezultaty jak najlepsze. Wzmocnia bowiem i konserwuje zęby, tudzież doskonale dezynfekuje jamę ustną. Eiksir, zastosowany w słabym rozczynieniu, zapobiega tworzeniu się pleśniawek u dzieci. Ponieważ „Tymental”, wyrabiany w Centralnem Laboratorium Chemicznem, uznany został przez lekarzy specjalistów za środek wysoko higieniczny, przeto wyróżnić go należy z pośród innych tego rydzaju preparatów zagranicznych lub pseudo-zagranicznych, jako środek najodpowiedniejszy do ochrony i pielęgnowania zębów. Dlatego, podając o powyższem do wiadomości ogółu, nadmieniamy, że „Tymental” zapewne otrzymać można we wszystkich znaczniejszych składach aptecznych.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,  
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,  
WYROBY NOŻOWNICZE

**Bronisław Kpug**

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.  
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

**MIŁUJĄCYM ZDROWIE!** poleca:  
**Okulary i Binokle** z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rupturę, nie krepują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik**, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

**Denaturowany spirytus.**  
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kucharki, żelazka i t. p.  
**B. CIA WIŚNIEWSKI**  
Foksal 15, Telefon 3009

Nowe maszyny  
**DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI**  
**„APOLLO”**  
nadzwyczaj dogodnie w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.  
**PASY SKÓRZANE**  
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca  
**ALFRED GRODZKI**  
Warszawa, 33, Senatorska.

**TYLKOZ WINO S. HERBEM RAPHAEL**  
POZYWNE I WZMACNIAJĄCE  
Zadać wszędzie z antylem.

**LECZNICA DLA DZIECI**

D-ra Juliana Gawrońskiego  
Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),  
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. **Porada 50 kop.**

Wszystkim rocznym prenumeratom „Tygodnika ilustrowanego” po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozesłane będzie premium za rok bieżący.



w Warszawie, Skład maszyn i potrzeb mleczarskich. Biuro techniczne mleczarskie. Artykuły hodowlane, gniczowiki do owsa, żyta i karmienia. Szalkownice do jarzyn. Maszyny do biczenia i dezynfekcji i t. p. Przedstawiciele firm: Sveaseparatoru—Stokholm. Simona-Frères—Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhaga i t. d. Sprzedaż i zakup masła. Katalog bezpłatnie.

# Bracia Osinscy

Warszawa, Niecała Nr 2 (róg wierzbowej)

Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)

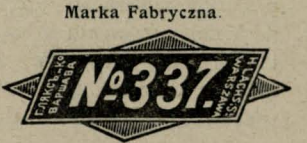
z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebawmy wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Llmoget”.

Ceny fabryczne. polecają wielki wybór OSTATNICH NOWOŚCI

WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ! NAŚLADOWCÓW SĄDOWNIE ŚCIGAĆ BĘDZIEMY!

# PUDER IRIS

Subtelny Hygieniczny  
Niedostrzegalnie Przylegający  
Bezwzględnie Nieszkodliwy



Skład fabr. Przejazd 1.

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy.

**KONSERWATOR** wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takich, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop.

**AGATOL** proszek i eliksir do ZĘBÓW z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

FORTEPIANY,  
PIANINA, PIANOLE,  
ORGANY,  
MELODYKONY



## GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

LUDWIK SZUFA

## KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradziadowie nasi, kiedy pili stary słowiański trunk

# MIÓD

Olbrzymie zapasy miodów w pierwszej największej miodosytni

## W. WYSOCKIEGO

w Warszawie, ul. Podwale Nr 25.

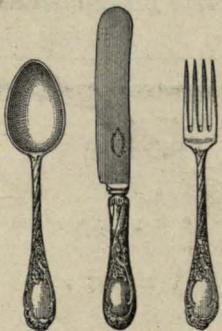
Nabywać można: WARSZAWA: 1) Wysocki (Podwale Nr 25. 2) Wysocki Mazowiecka Nr 3 (ze sprzedażą na szklanki) i 3) we wszystkich znaczniejszych handlach win, restauracjach i piwiarniach całego Królestwa. PETERSBURG: 1) Sienkiewicz, Czernyszewskij Pereulok, Nr 14; 2) Arefjew, Kazańskie Nr 2. WILNO: 1) Stempkowski, 2) Rymkiewicz, 3) Grużewski, 4) Dawidowski „Veritas”.—KIJOW: Paszkow i Synowie.—BRJANSK: Grabowski—RYGA: Rathel—ODESA: 1) Bratkowski, ul. Kobleńska Nr 40; 2) Witanowski, ulica Ryszewska Nr 19 i 3) Tomaszewski, ul. Sadowa 16. —CHARKOW: Jampolski.—EKATERYNO-SŁAW: 1) Bobowicz, 2) Dzygit i 3) Zaporozcew.  
W. Wysocki, Podwale Nr 25 i ulica Mazowiecka Nr 3. Wina słodkie i wytrawne, sprowadzane z pierwszych rąk, w najlepszych gatunkach, po cenach najniższych, począwszy od 35 kop. Również Wina zagraniczne. Likierzy i t. d.

## J. GOŁEMBIOWSKI ZEGARMISTRZ

Marszałkowska 111

egzystuje od 1880 roku.

Magazyn zawsze zaopatrzonej w pierwszorzędny towar. Ceny niskie. Gwarancja poważna.



## A. JASKULSKI

WARSZAWA, WIERZBOWA Nr 1.

SKŁAD FABRYCZNY WYR. PLATEROWANYCH  
Akc. Tow. R. PLEWKIEWICZ i S-ki

poleca: Sztuce i nakrycia stołowe najnowszych modeli na wyprawy. Wielki wybór artykułów z brązu, srebra, niklu i t. p., stosownych na wszelkie dary i prezenta okolicznościowe.

NAJNOWSZE CENNIKI ILLUSTROWANE.

## JÓZEF FRAGET

FABRYKA  
WYROBÓW PLATEROWANYCH  
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY  
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:  
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

PASTILLES  
DE

# TAMAR INDIEN GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIW

## OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i po 6-pudełkach po 6-pastylek z podpisem

## HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Najlepsza Pasta do Obuwia  
H. Trembińskiego

## „INTRYGANT”

żądać wszędzie

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcyjna

## Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2a, Leszno Nr 4, Długa Nr 19, Chłodna Nr 18, Dzika Nr 7, Praga Brukowa Nr 32.  
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.



## E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz  
dentysta

## STEFAN ŻYCZKOWSKI

NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa





BIBLIOTEKA WRÓBLEWSKICH.

Lit.

J

№ 1291

Dział III

Półka

071



LIETUVOS MOKSLU  
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250797 6

Lietuvos TSR Mokslų Akademijos  
CENTRINĖ BIBLIOTEKA

P 3130/1908